

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



ZYGMUNT KRASIŃSKI

Rzeźb. ST. R. LEWANDOWSKI

# KRASIŃSKI I TERAŹNIEJSZOŚĆ

Z powodu setnej rocznicy urodzin poety.

Nikt chyba nie będzie przeczył, że literatura polska pod wielu względami stoi niżej od literatury zachodnio-europejskiej, a przede wszystkim pod względem głębokości idei filozoficznych, pogłębienia psychologii człowieka, a nawet nieraz i pod względem czysto artystycznym; z drugiej wszakże strony należy przyznać, iż przewyższa ona o całe niebo literaturę powszechną pod względem etycznym, pod względem wielkiej czystości duchowej. I to jest niezwykłą chlubą naszą. Już w zaraniu polskiego życia umysłowego, w XVI wieku, możemy wskazać pisarzy, jak Modrzewski lub Skarga, głoszących narodowi swemu najszczytniejsze ideały ludzkości. Wiek XVII i XVIII obniżył je wprawdzie, natomiast wiek XIX, a zwłaszcza jego okres romantyczny, pod wpływem wielkiego bólu, spotęgował na nowo i opromienił je niebywałym dotychczas blaskiem. Na czele tych licznych pisarzy tego czasu, którzy apoteozowali bezwzględność czystości ducha narodu i jednostek i złożyli hołd głęboki najzacniejszemu pierwiastkom ducha ludzkiego, stał niewątpliwie Zygmunt Krasiński, którego setna rocznica urodzin przypada właśnie w roku 1912.

Jest on, obok Mickiewicza, największą chlubą narodu polskiego, a jego utwory, aczkolwiek nie dorównają zapewne pod względem artystycznym wielu utworom literatury zachodnio-europejskiej, atoli przewyższają je wszystkie zacnemi i podniosłemi ideami; zwłaszcza „Psalm miłości“ lub „Resurrecturis“ moglibyśmy w tej mierze na pierwsze miejsce wysunąć. Drugiego poety, któryby wygłosił takie szczytne ideały bezwzględnej czystości duchowej, chyba nie możemy znaleźć w całej literaturze powszechnej. To też ze wszech miar słuszną i bardzo trafną charakterystykę Krasińskiego znajdujemy w słowach St. Tarnowskiego: „Gdyby kiedyś nasz kraj, albo nasz wiek, wzięty na sąd, jak niegdyś Sodom, miał się zastawić od zguby pewną liczbą szlachetnych i wzniosłych, tedy pomiędzy tymi w pierwszym rzędzie powinienby się zastawić Krasińskim“. Poeta, który sam cierpiał przez całe swe życie cierpieniem ogółu i osobistym i który w czystości duchowej jednostki i narodu upatrywał jedyne, ale wielką ulgę w cierpieniach, uważając je za niezwykłą dźwignię ducha zboląłego a czystego, apoteozował nadewszystko cierpienie człowieka zacnego i niewinnego; najlepszym wyrazem tej apoteozy jest „Glossa św. Teresy“.

Gdy Mickiewicz dał nam prawdziwe, realistyczne wizerunki cierpień narodowych, Krasiń-

ski był poetą, którego poezya wyrosła z tych cierpień, a obok tego z pragnień, cnót i błędów społeczeństwa polskiego; skupiwszy w piersi swej te wszystkie cierpienia i pragnienia narodu, przez całe swe życie szuka na nie lekarstwa, szuka sposobów ratunku i widzi je przede wszystkim w ciągłej, nieustannej pracy nad udoskonaleniem ducha narodowego. „Idź i czyn—mówi Bóg do Irydyona, posyłając go do „ziemi mogił i krzyżów“ — choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać: czyn ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, i zmartwychwstaniesz nie ze snu, jako wprzódy było, ale z pracy wieków, i staniesz się wolnym synem niebios“. Rozumie tedy poeta tę niezaprzeczoną prawdę, że Bóg nie zbawi nas bez nas samych, że warunkiem zmartwychwstania narodów jest ciągła, zacna ich praca; więc czuwa nad tem, by naród w chwilach rozpacz i zwątpienia nie zeszedł z drogi prawej, nie chwycił się środków hańbiących, nie skalał białej szaty na sobie i nie przestał pracować, wiedział bowiem doskonale, że bezczynność to śmierć, że środki nieszlachetne nie tylko nie przyspieszą dojścia do szlachetnego celu, ale oddalą jeno ludzkość od niego: „Kto chce iskier z czarta kuźni, by przepalić czarta moc, ten świat w gorszą wpycha noc, ten mądrości wiecznej bluźni“. Wierzył, że przyszłość lepsza może się rozwinąć tylko „z myśli Bożej“.

To czuwanie nad zachowaniem czystości ducha narodowego stało się najważniejszym zadaniem wielkiego poety; w tym celu pisze on wszystkie swe lepsze utwory, a przede wszystkim „Irydyona“, „Przedświt“, „Psalm miłości“, „Psalm dobrej woli“ i „Resurrecturis“, będący niejako katechizmem narodu, wskazującym mu drogę w terażniejszości strasznej dla przyspieszenia świtu lepszej doli. Umiał on doskonale wniknąć w prądy, warunki i naturę życia społecznego i rozumiał je doskonale, a nad złem, które widział wokoło siebie, bolał głęboko, jak nikt może

ze współczesnych mu ludzi. Wskutek tego przedmiotem poważnej, pełnej smutku poezji jego nie jest jednostka tylko, lecz całe społeczeństwo; jest to więc poezya refleksyjna z dużym zasobem historyzofii, a występujące w niej postaci pojedyncze służą tylko do wyrażenia jakiejś idei, do jej usymbolizowania; ludzi zaś codziennych, z krwi i kości, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu typów lub charakterów, stojących poza tą ideą, nie spotykamy u Krasińskiego, dlatego też epizody w jego utworach tak mało mają w sobie materiału dla malarza.

Z licznych prac Krasińskiego widać doskonale, jak się on zapatruje na stanowisko i obowiązki poety; skoro poeta ma wywierać dodatni wpływ na swe społeczeństwo, powinien przede wszystkim wyrzec się samego siebie, zapomnieć o sobie i stanąć wysoko pod względem moralnym, musi być „męką z niebios rodem“ i, co najważniejsza, musi być „piekłem miłości“, musi w swej piersi, jak Mickiewicz, skupić cierpienia i radości milionów, a wtedy dopiero te miliony za serce sercem mu odpłacą.

Czy obecnie już nadszedł czas odpłaty owej, czas uwielbienia i ukochania wielkiego poety? Nie. Dla dwu przyczyn dziś jeszcze społeczeństwo całe, z wyjątkiem bardzo nielicznych jednostek, jest obojętne wobec prawd, wygłoszonych przez Krasińskiego. Pierwszą z tych przyczyn jest deprawacja moralno-estetyczna, upadek poczucia istoty piękna w znacznym odłamie naszej literatury. Dziś czas hołdowania różnego rodzaju zawilosciom i dziwacznościom myśli i formy, niezrozumiałym zgoła alegoryom, pozwalającym każdemu tłómaczyć je inaczej, a obok tego czas zachwyty nad apoteozą najwstrętniejszej części natury ludzkiej, czas psychopatycznych wybryków nadludzi i lubowania się w brudach życiowych.

Dziś zyskują rozgłos i wzbudzają zachwyty raczej utwory Słowackiego, powstałe w epoce towianizmu poety, to jest utwory najslabsze, będące wytworem chorobliwej, spaczony doktrynami mistycznymi fantazyi, a wzbudzają zachwyty właśnie dlatego, że są tak niezrozumiałe, i że dziwaczne zawierają myśli, a tem samem służą poniekąd za usprawiedliwienie dla całej rzeszy maluczkich, szczupłych myśli, uczuciem i talentem poetów. To pierwsza przyczyna niezrozumienia Krasińskiego. A druga?

Druga leży bez wątpienia w deprawacji społecznej, w wypaczeniu zmysłu etycznego w sferze walki socyalnej, którą tak świetnie scharakteryzował



MODEL NA SARKOFAG  
KRASIŃSKIEGO



ST. R. LEWANDOWSKI

poeta w „Nieboskiej komedii“. Walka ta rozbudziła, niestety, namiętności najdziksze i zmusiła chwycić się środków nieuczciwych, podyktowanych przez rozpacz. Zapomniano o tej wielkiej prawdzie, wygłoszonej przez poetę, że tylko miłość zapewnia zwycięstwo trwałe i pożądane przez ludzkość, że złymi czynami nigdy się nie osiąga zacnego celu. W chwili roznamiętowania niepodobna wymagać nie tylko od tłumów, ale i od jednostki, aby słuchano słów spokojnych i rozważnych. Owszem, w takich chwilach zazwyczaj głos rozsądku bywa lekceważony, i tylko ten ma wpływ na tłumy, kto umie podsycać jego namiętności. Z rozumem i etyką nikt się wówczas liczyć nie będzie. Dopiero w przyszłości, gdy smutne skutki takiej działalności dotkliwie dadzą się uczuć społeczeństwu, które pocznie spożywać gorzkie owoce swojej nierozwagi i szału, namiętności ucichną, i nastąpi refleksja, pod której wpływem Pankracy z boleścią zawoła: „Galilee, vicisti!“ A będzie to niewątpliwie najtragiczniejsza chwila w życiu takich demagogów, zmuszonych wreszcie przyznać, ale

już po czasie, że złą kroczyli drogą, że cel święty tylko oddalili środkami nieuczciwymi, że „biada wiekom, jeśli gwałty niebożymi kusić się będą o dóbr bożych łup“.

Dziś jeszcze wre walka: a więc poeta, który zapewniał, że „z bólu duch zmartwychwstaje, z podłości tylko niemasz zmartwychwstania“, nie może mieć miru; w dzisiejszych czasach rozkołysanych namiętności jednostek poeta taki, jak Krasiński, odczuty i uwielbianym być nie może; ażeby bowiem zrozumieć wielkość i prawdę jego myśli, trzeba samemu być myślicielem; ażeby odczuć wielką, płomienną miłość, potrzeba samemu kochać głęboko, jednym słowem, ażeby uchylić głowy przed wielkością Krasińskiego, trzeba być, jak on, czystym i podniosłego ducha. Dziś jeszcze wre walka: a więc dziś jeszcze ten ogół słuca raczej podszeptów Massynisy, który się śmieje rozkosznie śmiechem serdecznym.

Czyż więc wobec takiego stanu rzeczy może być mowa o uwielbieniu Krasińskiego? Oczywiście, nie. Nastąpi to jeszcze niepręd-

ko; pierwaj musi duch zwyciężyć siłę brutalną, musi Pankracy dojść do wniosku, że nienawiść tłumów ciemnych i rozbastwionych nic dobrego nie stworzy, że czyny gwałtu, i zbrodni tylko oddalają dzień szczęścia ludzkości; pierwaj musi zajaśnieć przepowiedane przez poetę „niebo na ziemi“, a przynajmniej przedświt jego, musi ludzkość „zostawić w dole u stóp ciemnych wzgórz wszystko, co zwodzi, i wszystko, co boli; zostawić w dole szataństwo niewoli, zostawić w dole kłamstwa opętanie“, a wziąć z sobą tylko „duchowe poznanie i serca wieczną, nieskończoną miłość“. Pierwaj musi Irydyon zmartwychwstać „z pracy wieków“, a Massynisa musi przestać śmiać się śmiechem szardczym, szatańskim.

Oby zbliżająca się setna rocznica urodzin Krasińskiego i związane z nią uroczystości przyczyniły się choć w małej mierze do zbliżenia tej chwili, w której urzeczywistni się niebo na ziemi, gdzie dotychczas panują tylko obrazy piekła i czysćca.

J. NITOWSKI.

## Poławiacze pereł.

Poławiacze odważni drogocennych muszli  
W głęboką otchłań morza łowić perły uszli.  
Spadają coraz niżej, grażąc się, jak ołów,  
A każdemu nadzieją uśmiecha się pólów...  
Spokojne ich nakryło lustro jasnej wody,  
Gdy w głębinie wre walka ze śmiercią w zawody,  
Ramiona się zmagają, piersi tchu nie schwyca,  
A morze niewydartą huczy tajemnicą,  
Wrośniętą w grzązkie ily lub w ławy korali...

Tak dusza ludzka próżno od wieków się pali  
Żądzą pójścia aż na dno swych tajemnych głębi,  
Gdzie tyle się nieznanych jeszcze wirów kłębi  
I gdzie ukryta drzemie, zapadłszy w otchłanie,  
Muszla, co kryje w sobie myśl-perłę: *Poznanie*.

## Nie pytaj.

Z ogrodu moich wspomnień przynoszę ci różę,  
Co szczęsna kwitła niegdyś w królewskiej purpurze  
Na wiosennym złudzenia młodzieńczego krzewie,  
Piękna, jak młode życie, co o troskach nie wie,  
Uśmiechnięta, jak miłość, rzeźka, jak chłód ranny,  
Spadający na ziemię deszczem rośnej manny...

Dajęć napoly zwiędła... Śmierć się z niej wynurza,  
Popieleją jej listki. Patrz, to już nie róża,  
Ale widmo posępne mojej własnej duszy...  
Ręka twa dotknie płatka i płatek się kruszy,  
Wiatr go niesie, a myśli z wiatrem za nim biega,  
Żalotne myśli moje... Nie pytaj dla czego...

ZDZISŁAW DĘBICKI,

WIECZÓR



L. DOUZETTE

BOLESŁAW PRUS:

## D Z I E C I

P O W I E Ś Ć

33)

Dziewuchy wyniosły na ganek kosz, walizkę i pudełko, na widok czego furman zaczął skrobać się w głowę, myśląc, gdzie to wszystko pomieścić?

Doktór naglił o pośpiech, na ganku ukazał się stary Linowski w swojej lisiurce, na której szarem tle wyraźnie odbijał zielony sznur rewolweru.

— Jedziemy, jak do powstania — śmiał się Władek.

— Dam ja ci powstanie... — rzekł Dębowski. — A tymczasem ubieraj się, bo szkoda czasu...

— Aj, do licha!... — zawołał Linowski — na śmierć zapomniałem prosić o urlop... To dopiero awantura... Oczywiście, tracę pamięć...

— Bądź spokojny o pamięć i urlop. O twoim wyjeździe już mówiłem z dyrektorem...

— I zgodził się?.. — zapytał z dziecinną ciekawością Linowski.

— Za to, co zrobiłeś dla nich, na cały rok daliby ci urlop z pensją i gratyfikacją — odparł Dębowski.

— Istny palec Boży!... — mówił jakby do siebie podleśny. — Ocaliłem trochę pieniędzy fabryce... zdobyłem sobie dobrą kreskę u zarządu i kto wie, czy nie uratowałem paru chłopaków od kozy, a może i od szubienicy. A to wszystko za parę dni choroby, nie tyle ciężkiej, ile śmiesznej.

— No, no... już daj spokój filozofii a zabieraj się do podróży — przerwał Dębowski.

— Więc siadajmy...

— Ależ na Boga, stójcie!... — zawołała Linowska. — Zapomniałam o najważniejszych rzeczach...

— Cóż to za ważności? — spytał doktor.

— Nie dałam kociołka na herbatę... Franusia, biegnij do kuchni i przynieś ten mniejszy imbryk blaszany... Po drugie całkiem zapomniałam o opłatkach dla Zosi i was wszystkich...

— Opłatki do proszków?... — zapytał doktor.

Linowska ze zgrozą popatrzyła mu w oczy i wzruszyła ramionami. Potem wbiegła do mieszkania i po chwili wyniosła stamtąd żelazny imbryk, tudzież pudełeczko z opłatkami.

— Siadajcie... siadajcie i jedźcie... O, już i mój Kobielał żegluję... zdaje się, niepodkutemi saniami...

— Bądź zdrowa, Haniu... do widzenia!... — rzekł Linowski, tuląc do piersi żonę.

— Władku — mówił Dębowski półgłosem — jeżeli masz trochę rozsądku i władzy nad samym sobą, ucz się... ucz się i jeszcze raz ucz się... Teraz wojny wychodzą z mody, a miejsce ich zajmuje rozum i praca... Wiek nie upłynie, kiedy zwycięstwa będą odnosili tylko ci, którzy lepiej i wytrwalej potrafią pracować... Zrozumiano?...

— Zrozumiano!... — odpowiedział wesoło Władek — a w każdym razie nie powstydzisz się mnie pan doktor.

Potem, wzięwszy pod rękę Świrskiego, szepnęła mu do ucha:

— Ze Lwowa, jeśli będzie rewolucja, przyprowadzę ci partyę... ale pamiętaj, zrobisz mnie swoim adjutantem, jak Napoleon Murata...

— A czy jesteś pewny, że się jeszcze spotkamy?... — zapytał go ze spokojną twarzą Świrski.

— Jestem tak pewny twojej gwiazdy,

jak tego, że zwycięży rewolucja — odparł Władek.

— Rewolucja zwycięży, ale człowiek... Człowiek jest rzeczą bardzo kruchą! — odpowiedział w zamyśleniu Świrski. Ale pogodny spokój nie opuścił go oni na chwilę.

— Siadajcież nakoniec narody! — wołał niecierpliwie Dębowski.

Podleśny już zajął miejsce w saniach, Władek żegnał się ze służbą.

— Jeszcze słówko!... — zawołała panna Jadwiga. — Panie Linowski, oto flaszeczka bromu...

— Czy pani, obok polityki, zajmuje się i medycyną?... — zapytał Dębowski.

— Wyręczam doktorów, którzy zapominają, że chorym potrzebne są lekarstwa na drogę — odcięła się panna Jadwiga. — Mam także interes do pana, panie Władysławie. Oto paczka książek: elementarze... broszurki o rolnictwie... geografii... astronomii... Niechże pan odda to w dobre ręce... Gdyby każdy inteligent nauczył choć trzech ludzi czytać i pisać, liczba analfabetów zmniejszyłaby się w naszym kraju...

— ...I teraz i zawsze i na wieki wieków amen!... — wtrącił Dębowski.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytała pogardliwym tonem Jadwiga.

— Pani cytuje aforyzmy ze wzorów kaligraficznych, u ja z Godzinek...

— Ruszaj!... — rzekł Linowski do Pawła.

— Władziu!... Właduchnu!... — zawołała bardzo wzruszona Linowska.

Chłopak zeskoczył z sanek i odszedł z matką o kilka kroków dalej.

— Przyrzeknij mi... przyrzeknij... że

spełnisz moją prośbę...—mówiła, z trudnością hamując łzy.

— Wszystko zrobię, co mamusia każe—odpowiedział cichym głosem.

— Słuchaj... Wiem, że już się nie modlisz... trudna rada. Starzy żartują z opłatków, młodzi z pacierza... Ale proszę cię... błagam!...—szepiała.—Rano i wieczorem mów tylko te wyrazy: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko“... Pamiętajasz tę modlitwę?... A jeżeli kiedy będzie ci bardzo źle... bardzo ciężko... po-

wiedz: „Boże, bądź miłościw mnie grzeszemu“... Zapamiętasz?...

— Tak.

— I będziesz odmawiał... to przecie tak mało!...

— Będę...

Stali obok Świrskiego, który wszystko słyszał.

— I pan, panie Kazimierzu, będziesz odmawiał te modlitwy?... Proszę o to w imieniu pańskiej matki...

— Jeżeli pani każe...

— Siadaj Władek!...—krzyknął już rozczłuszczony doktor.

Władek ucałował matce rękę, uściśnął Świrskiego, ukłonił się doktorowi i pannie Jadwidze i skoczył do sanek.

— Ruszaj!...—odezwały się dwa głosy.

— Z Bogiem!—zawołała Linowska.

Sanki ruszyły i niebawem znikły wśród lasu.

(DCN)

ALEXANDER KRAUSHAR:

## Wierszyk karlsbadzki Kołłątaja

KARTKA HISTORYCZNA.

I.

W roku 1822 na jednej ze skał karlsbadzkich, najprawdopodobniej nad źródłem gorącym Sprudla, które w owym czasie nie było jeszcze ujęte w basen metalowy i okryte wspianą hallą oszkloną, widniał napis polski tej osnowy:

„Polaku! Na cóż pijesz wody wrzące,  
Co je Wulkana moc czyni gorące?  
Wszak two podobne ły do tego ścieku.  
Pij więc ły własne—dar smutnego wieku—  
A w głębi skał tych kuj grobowiec sobie,  
Niemasz Ojczyzny! Cóż po życiu tobie?”

Pismo peryodyczne *Krakus* po raz pierwszy w roku 1822 w N-rze 27 z dnia 6 lutego ogłosiło ów wiersz, z następującym objaśnieniem na czele:

„Wiersz Hugona Kołłątaja, napisany po rozbirozie Polski, w Karlsbadzie, na skale, nad źródłem gorącej wody”.

Może dla przenikliwego, a drobiazgowego szperacza były to przedmiot nieobojętnej dla charakterystyki księdza Hugona doniosłości—ustalenie daty pewnej pomienionej, nieosobliwej pod względem formy, lecz głębokiej treścią swoją i beznadziejną rozpaczą, wierszyka, odnoszącego się do epoki, która, ponad wszelkie spodziewanie, nie przekazała była potomności w puściznie poetyckich utworów, odtwarzających rozpacz i żal dotkniętego katastrofą podziałową pokolenia.

Przekonamy się, że zagadka to niełatwa do rozwiązania, jakby się napozór zdawać mogło, a jeżeli w szkicu niniejszym postaram się o możliwie prawdopodobne jej rozwikłanie, nie wykluczy to jednak ewentualności, iż ktoś inny będzie w tej mierze szczęśliwszym i czas, w którym wierszyk karlsbadzki powstał, z konkretniejszą oznaczy pewnością.

W wartościowej monografii młodego historyka, Wacława Tokarza: „Ostatnie lata Hugona Kołłątaja“ (Kraków, 1905), zawierającej okres żywota ks. podkanclerzego od r. 1794 do jego zgonu w 1812 roku, znajdujemy w tomie I-ym na str. 181 wyjaśnienie, że *dopiero w roku 1795*, po uwięzieniu Kołłątaja przez władze austriackie i osadzeniu go w Josephstadzie, a następnie w Ołomuńcu, gdzie w kazamatach do roku 1802 przebywał, jako więźnia stanu, Kołłątaj, „dla odpędzenia myśli dręczących, dla zabicia pustki dnia więziennego zaczął kreślić rymowane utwory“.

Wierszyki owe—pisze Tokarz w dalszym ciągu—są „ciekawym objawem depresji więziennej tego człowieka, który, jak sam stwierdzał, przedtem w całym swym życiu nie tylko nie skleił jednego rymu, ale był nawet zupełnie niewrażliwy na piękno poezji“.

Mamy zatem stwierdzenie biografy Kołłątaja, osnute na własnym wyznaniu tegoż, iż twórczość poetycka jego ujawniła się dopiero po rozbirozie Rzplitej, po raz pierwszy—podczas wywczasów więziennych. Wierszyk zatem, ogłoszony przez czasopismo *Krakus* w roku 1822, mógł być powstać i niewątpliwie powstał *po roku 1795*, czego zresztą jego osnowa i smutny nastrój są dowodem.

To ustalwszy, pozostaje jedynie oznaczyć czas bytności Kołłątaja w Karlsbadzie po rozbirozie kraju, lecz tu dopiero następują się wątpliwości poważne.

Wiemy z listów Kołłątaja, ogłoszonych w Zbiorze Żupańskiego w r. 1872 przez Lucyana Siemieńskiego, iż Kołłątaj, pisząc w d. 17 stycznia 1794 roku z Drezna do Wincentego Szczurowskiego, wynurzył życzenie *wybrania się w maju tegoż roku do Karlsbadu*, a stamtąd do Teplitz, gdzie do sierpnia miał zabawić.

Życzenie to nie mogło się urzeczywistnić, gdyż już w kwietniu zaszły pamiętne wydarzenia warszawskie, w których Kołłątaj tak czynny miał udział, a które na jego wyjazd zagranicę w celach kuracyjnych nie pozwalały.

Pozostawał Kołłątaj przez cały czas powstania Kościuszkowskiego w Warszawie, skąd, po nieszczęśliwym rezultacie walki na Pradze, któremu się z okien swego mieszkania w domu Wasilewskiego przypatrywał, dnia 4 listopada 1794 r. wyjechał za granicę.

Po upływie miesiąca (8 grudnia t. r.) nastąpiło w Przemyślu, na terytorium austriackim,

aresztowanie Kołłątaja i przewiezienie go do Josephstadu. Od tej chwili zatem, aż do uwolnienia z Ołomuńca w roku 1802, Kołłątaj w Karlsbadzie być nie mógł, gdyż po wypuszczeniu go z twierdzy uzbrojono mu wogóle pobytu w Austrii. Wróciwszy chory i znękany do Warszawy, dalsze lata spędził Kołłątaj na Wołyniu i w Moskwie, a następnie znowu w Warszawie, za czasów Księstwa Warszawskiego, gdzie czekały go ważne prace publicystyczne i administracyjne, praca nad reformą wychowania uniwersyteckiego i szkół krajowych, a przez ten czas nie spotykamy śladu, by Kołłątaj bawił zagranicą na kuracyi.

W roku 1811, podczas pobytu swego w Pillnitz, był on tak nękany chorobą, że z trudnością nawet mógł wybrać się w lektycę w sprawach osobistych na audyencję do króla Fryderyka Augusta, tem mniej zatem mógł być w owym czasie wybrać się do leczniczych źródeł. Nie mógł uczynić tego i później, gdyż wogóle przez cały rok 1811, aż do zgonu, który zaszedł w d. 28 lutego 1812 roku w Warszawie, w kamienicy Jakobinów Nr. 43 na rynku Starego Miasta, Kołłątaj chorował obłóźnie.

Wogóle, od chwili wyjazdu Kołłątaja z Warszawy, w listopadzie 1794 r., aż do dnia jego zgonu, niema wskazówek, nasuwających przypuszczenie o możliwości czasowego jego pobytu w Karlsbadzie. Z tem wszystkiem, wątpliwości nie ulega, że jedynie w owym okresie czasu i to na gruncie owej miejscowości mógł być powstać i uwidocznić się na skale karlsbadzkiej wierszyk, który następnie stał się powodem zgonu pisma peryodycznego, gdzie go po raz pierwszy ogłoszono.

Zanim przytoczę korespondencję dyplomatyczną, jaka z powodu owego wiersza wywiązała się była w r. 1822 między rządem Królestwa a władzą naczelną Rzplitej krakowskiej i dała asumpt do ścieśnienia cenzuralnych, wymierzonych przeciw wszystkim pismom peryodycznym polskim, do Warszawy podówczas nadsyłanym, tu już zaznaczyć należy, że, broniąc się przeciw zarzutowi opublikowania wiersza, redakcja *Krakusa* wyjaśniła, iż utwór ten *już od lat dwudziestu* (a zatem od roku 1802) istniał bez przeszkody ze strony władz austriackich na karlsbadzkiej skale.

Rok pomieniony, t. j. rok 1802, był właśnie rokiem uwolnienia Kołłątaja z Ołomuńca, a jakkolwiek autor biografii ks. Hugona utrzymuje, iż bezzwłocznie po wypuszczeniu Kołłątaja z twierdzy zaszedł zakaz jego pobytu w Austrii, nie wyklucza to jednak możliwości, iż tylko w owym czasie, znękany chorobą podagry, mógł Kołłątaj szukać ulgi w cierpieniach u źródeł Karlsbadu i że wtedy tylko, pod wpływem moralnej i fizycznej depresji, wierszyk inkryminowany napisał i uwidoczniał na skale.

(DN)



Podobizna czasopisma „Krakus“ z r. 1822.



NIEPOPRAWNY

O. KOROKNYAI

— Obaczycie, jak sobie radę dawał będę! — gadał prędko Szymek.—A kto u matki orał? Kto siał? Kto zbierał? Dyć jeno ja sam! A źle to w roli robiłem, co? Wałkoń to jestem, co? Niech cała wieś powie, niech matka zaświarczy! Dajcie mi jeno grunt, spomóżcie, braty rodzone, a to już wama za to do śmierci się nie odstuję. Pomóżcie, ludzie kochane, pomóżcie!—wołał, śmiejąc się i płacząc na przemian, zgola jakby pijany radosną nadzieją, że gotów był zaraz w tej minucie lecieć i chytać się tej ziemi choćby gołymi pazurami.

A kiej się ździebko uspokoił, zaczęli już wspólnie rozważać i deliberować nad tymi zamysłami.

— Bych się jeno dziedzic zgodził na spłaty! — westchnęła Nastka.

— Poręczymy z Mateuszem, to widzi mi się, co i da.

Nastusia już go chciała całować po rękach za tyła dobrości.

— Zażywałem niezgorszej biedy, to wiem, jak drugim smakuję! — rzekł cicho, powstając do odejścia, bo się już było całkiem zmrozczało nad ziemią, jeno co niebo było jeszcze jasne i zorze dopalały się na zachodzie.

Antek stał czas jakiś nad stawem, wając się w sobie, w którą stronę pójdzie, lecz po chwili ruszył ku domowi.

Szedł jednak zwolna, kieby pod przymusem, przystając co trocha ze znajomymi, na drogach bowiem było pełno ludzi, wałających się gadzin i dzieci. Przyśpiwki trzęsły się po opłotkach, kajś zakrzywały przepłoszone gęsi, pod młynem wrzeszczały kąpiące się chłopaki, jakieś kumy kłóciły się po drugiej stronie stawu, jakby przed Balcerkami, a przenikliwy głos piszczałki gdzieś uszy przewiercał.

Chociaż Antkowi nie było pilno i rad przystawał na drodze a z bele kiem pogadywał, to w końcu stanął przed swoją chałupą. Okna stały wywarte i oświetlone, dziecko płakało pod ścianą, zaś z podwórza rozlegał się wrzaskliwy głos Hanki a kiej niekiej jażgotliwe odszczekiwanie Józki.

Zawahał się znowu, ale kiej Łapa zaskomlał przy nim i jął wyskakiwać z radości, kopnął go w nagłym gniewie i zawrócił z powrotem na wieś. Dopadł dróżki proboszczowskiej, przemknął się kole organistów tak cicho, że go nawet psy nie poczuły, i wsunął się pod księży sad, zaraz przy szerokiej miedzy, dzielącej Kłębową ziemię od księżych.

Nakrył go głęboki cień drzew galancie rozrosniętych.

Księżycowy sierp zawisł już był na pociemniałym niebie i gwiazdy jęły się rozjarzać coraz migotliwiej; wieczór czynił się rosyjski a silnie nagrany, prawdziwie letowy. Przepiórki wołały ze zbóż, od łąk dalekich leciały grubaskie pohukiwania bąków, zaś nad polami wisiała taka rozpachniona cichość, ja-

że w głowie się mąciło. Ale Jagusia jakos nie przychodziła.

Natomiast o jakieś pół stajania od Antka, po miedzy spacerował proboszcz w białym obleczeniu i z gołą głową, tak pogrążony w odmawianiu pacierzy, iż jakby nie widział, co jego konie, pasące się na chudym, wytartym ugorze, przeszły miedzę i łakomie wżerały się w Kłębową koniczynę, która, ni by bór, czerniała spaniale wyrośnięta i pokryta kwiatem.

Ksiądz ciągiem chodził, mamrocąc pacierze, po gwiazdach włożył oczami a niekiej przystawał, pilnie nasłuchując i gdy się jeno ruszyło co niebądź kajś pod wsią, zawracał spiesźnie, gderząc niby gniewnie na konie.

— A gdzież to polazł, siwy? W Kłębową koniczynę, co? Widzicie ich, jakie to łajdusy! Smakuje wam cudze, co? A batem chceta po portkach? No mówię, batem!—pograżał wielce srogo.

Ale koniska tak smacznie chrupały, ja że księdzu zbrakło serca na wypędzenie ze szkody, więc jeno rozglądał się a prawil z cicha:

— No żrej jeden drugi, żrej... już się za to zmówi jaki paciorek za Kłębową duszę albo i wynagrodzi czem szkodę! Nygusy, jak się to przypinają do świeżej koniczyny!

I znowu chodził tam i z nawrotem, pacierze mówił i stróżował, ani się spodziewając, jako Antek patrzy w niego, słucha i z coraz większą niespokojnością wyczekuje na Jagusię.

Przeszło tak z dobrych parę pacierzów, gdy naraz Antkowi przyszło na myśl podejść do niego a wyznać się ze swoich frasunków.

— Taki nauczony to może prędzej najdzie jaką radę!—rozważał, cofając się cieniami pod stodołę, i dopiero za węglem śmiało wyszedł na miedzę i głośno zachrzakał.

A ksiądz, posłyszawszy, że ktoś nadchodzi, zakrzyczał na konie:

— Szkodniki paskudne! To ani z oczów spuścić, zaraz w cudze, jak te świnie! Wista kasztan!—I uniesłszy ubieru wypędzał, ją z pościechem.

— Boryna! Jak się masz?—wołał rozpoznawszy go z blizka.

— Dyć szukam dobrodzieja, byłem już na plebanii.

— A wyszedłem zmówić pacierze i przypilnować konisków, bo Walek poleciał do dworu. Ale takie znarowione szkodniki, że niech Bóg bron, rady nie mogę sobie dać z niemi. Patrz, jak się Kłębowi wysypało koniczyny, jak bór! Z mojego nasienia... Za to moją tak wymroziło, że został się tylko rumianek i osty!—westchnął żałośnie, przysiadając na kamieniu. — Siadajże, to sobie pogadamy! Śliczna pora! Za jakie trzy tygodnie zadzwonią kosy! No mówię ci!.

Antek przysiadł wpodłe i zaczął zwolna rozpowiadać, z czym był przyszedł. Proboszcz słuchał uważnie, tabakę zażywał i na

konie krzyczał raz po raz, kichając przy tem siarczyście.

— A gdzie! Ślepyś, że cudze? Widzisz je, świńtuchy znarowione!.

Antkowi szło jakos niesporo, zająkiwał się i płał.

— Widzę, że ci coś ciężkiego dolega. Wyznaj się szczerze, to ci ulży, wyznaj! Przed kimże duszę wyżalisz, jak nie przed księdzem?—Pogładził go po głowie i uczył tabaką, że Antek, nabrawszy śmiałości, rozpowiedział mu wszystkie swoje frasunki.

Ksiądz długo ważył jego słowa, wzdychał i w końcu rzekł:

— Jabym ci za borowego nazaczył pokutę kościelną: stawałeś w ojcowej stronie; a że był łajdos i luter, to nie wielka stała się szkoda. Ale sądy ci nie darują. Najmniej posiedzisz ze cztery lata! I co ci tu radzić? Mój Boże, i w Ameryce ludzie żyją, i z kryminału też wracają. Ale jedno złe i drugie też nie lepsze.

Był za tem, żeby Antek uciekał choćby jutro, to znowu radził pozostać i odsiedzieć karę, a na ostatku powiedział:

— Jedno co pewna: zdać się na Opatrzność i czekać zmiłowania Bożego.

— Hale i wezmą me w dybki, w Sybir pognają!.

— Wielu jednak powraca, sam znałem niejednego!.

— Juści, jeno co to po latach zastanę w chałupie, co? A bo to kobieta da sama radę? Zmarnuje się wszystko!—szeptał bezradnie.

— Z duszy serca radbym ci pomógł, ale cóż ja mogę... Czekał, mszę świętą odprawię do przemienienia Pańskiego na twoją intencję. Zapędź mi konie do stajni, późno! No mówię ci, późno, czas spać!

Antek tak był przejęty turbacyami, że, wyszedłszy z księżego podwórza, dopiero przypomniał sobie Jagusię i spiesźnie do niej poleciał.

Juści, co już czekała, skulona pod stodołą.

— Czekałam i czekałam!

Głos miała jakby schrypnięty od rosy.

— Mogłem się to księdzu wymówić?—Chciał ją objąć, odepchnęła go.

— Nie figle mi ta w głowie, nie ceckania!

— Dyć cię całkiem nie poznaję!—Czuł się dotknięty.

— Jakaś me ostawił, takusieńką i jestem!.

— A nie podobna do się!—Przysunął się bliżej.

— Nie zafrasowałaś się o mnie bez tyła czasu a teraz się dziwujesz?

— Że już i barzej nie sposób, ale mogłem to przylecieć do cie, co?

— A ja ostałam jeno z trupem a z zgrzyotami!—Zatrzęsła się z zimna.

— I ani ci w głowie postać zająrzeć do mnie, co inszego miałaś w myślach!.. (DCN)



„TO TWOJA DUSZA”—RZEKŁ STARY

ANTONI PIOTROWSKI

## Szymka Pogończyka, witezia nieustraszonego, przygoda.

2)

W tymże momencie Szymek szusnął na równe nogi z terlicy i, dzierżąc ogiera za powody, szedł naprzód śmiało, wystawiwszy przed się ostrze demeszkі gwoli bezpieczeństwa.

Aliści ledwie sześć kroków uczynił, gdy znowu zabrzmiał ów głos tajemniczy:

— Stój!... ani kroku!

I Szymek stanął osadzony na miejscu, by pień drzewny w ziemię wkopany, a że wszystkich stron lasu walić k'niemu poczęła ćma niezliczona świetlików borowych, kłębiących się gromadnie, jak owe komary nad bagniskiem, i mgławym złocistym błyskiem ciemnicę nocną krzywą rozjaśniających.

W dziwnym onem oświetleniu ujrzał Pogończyk, tuż wpodłe siebie, wyniosłego by chojar starucha, o gębie chudej, posępnej, z białym do pasa brodziskiem, z osadzonemi gdzieś w głębi głowy oczami, co tak łyskające spojrzenia ciskały, niby wilkołak w dzień Matki Boskiej Gromnicznej.

Obleczenie miał ów staruch na sobie mniszemu habitowi albo-ii, co prędzej, opończy pątniczey podobne.

— Ktoś jest?... Czego chcesz ode mnie, jeśliś jest człek spokojny?—zagadnął, patrząc się w gorejące ślepie starego, Szymek we złości okrut-

nej, tłumiąc wszelako tę w sobie, boć nie mógł przecie on, woj nieustraszonego, poczynać pięścią lub żelazem z półtrupem, starym, zmurszałym...

— Chciałem cię poznać, chobry rycerzyku, i chciałem spytać, żaliś naprawdę jest nieustraszonego?

— Idź lepiej klepać pacierze o lekkie skonanie, dziadygo, bo trupem cuchniesz.

— Toć niewiadomo komu z nas sądzono, czy mnie, czy tobie pierwej iść do truchły... Boska w tem wola!

— Mów, czego żądasz, dziadu uprzykrzonego, bom jest zabaczyć gotów o twojej starości i wnet gnaciska płazem ci pomacam!...

— Chcę cię zapytać, przed czem ty się trwożysz?

— Zasię ci do mnie!—mamrotał nachmurzony jeszcze Szymek, choć czuł dokumentnie, że cała jego hardość gdzieś się po boru rozwiała, że stoi przed nieznanym mu staruchem, by bezwąsy wyrostek przed gniewnym rodzicem, by winowajca przed sądem.

— Pytam raz wtóry, czego się lękasz, Szymku Pogończyku?—rozkazem władnego ozwał się znów stary, a Szymek, w niezrozumiałej przez się samego pokorze, odrzekł bez zwłoki:

— Ino trzech rzeczy: Boję się Boga, krzy-

nę kusego i boję się babskiej śmierci pod pierzyną!

— A grzechów... zbrodni twoich się nie lękasz?

— Grzechów się zbyłem na świętej spowiedzi, zaś zbrodni nijakiej w życiu nie spełniłem!

— A tve zabójstwa?

— Po rycerskim przecie zabijał w boju.

— A tve rabunki?

— Wojenna zdobycz przec jest we zwyczaj!

— A czci niewieściej srogie pohańbienie?

— Przeciem nie gwałcił, szły po dobrej woli, a choćby nawet było co w tem winy, ksiądz mi odpuścił... pokutę, jaką zadał, wypełniłem, nie mało klechom sypnąłem w kaletę, by za me grzechy Boga przebłagali... Mam rozgrzeszenie!

— A czy siebie samego się nie lękasz?

— Samego siebie? Mózg ci się pomacił, stary dziadygo, i bajesz mi bzdury...

— Zatem spójrz w siebie!...

Szymek, zdziwiony, poniewoli spojrzął po własnej postaci i poprzez kabat i koszulę i pierś czarniawą ujrzał samego siebie we wnętrzu, gdzie, jakby w dziupli wierzby wypróchniałej, mieściła się postać jakowejś niewiasty, wypisz, wymaluj do nieboszczki jego macierzy nad wszelki wyraz podobna...



Zdumiał się onem zjawiskiem, przejęty wskroś do żywego, bo ponad wszystko w świecie mać swoją kiedyś miłował...

Niewiasta owa była jak po niemocy srogiej zbiedzona i smutnie spoglądająca z cichą a wielką boleścią na wpatzonego w nią witezia.

— To twoja dusza...—rzekł stary.

Miał przeciw Szymek kościelne grzechów odpuszczenie, a dusza jego białą snąc ongi, bo miejscami rzadkimi by śnieg na ponowie lśniącą, opończy okrutnie we krwi miała sponiewieraną.

Miał przeciw kościelne grzechów odpuszczenie,

a dusza jego dzierżyła w podołku znaczne brzemie przezrzystych by szkieleta kamyków, z których kształtu wnet poznał, że to łyzy ludzkie przez niego krzywdą wyciśnięte...

Miał przeciw kościelne grzechów odpuszczenie...

Taki żal okrutny go ogarnął, że byłby chciał, jak one łyzy ludzkie, w kamień się zamienić...

Kolana mu się same w pokajaniu przed strachem ugięły... pot kroplisty wystąpił na ogorzale od wichrów czoło, przejął go ziąb mroźny, aż zęby jeden o drugi szczerkać poczęły, i on, Szy-

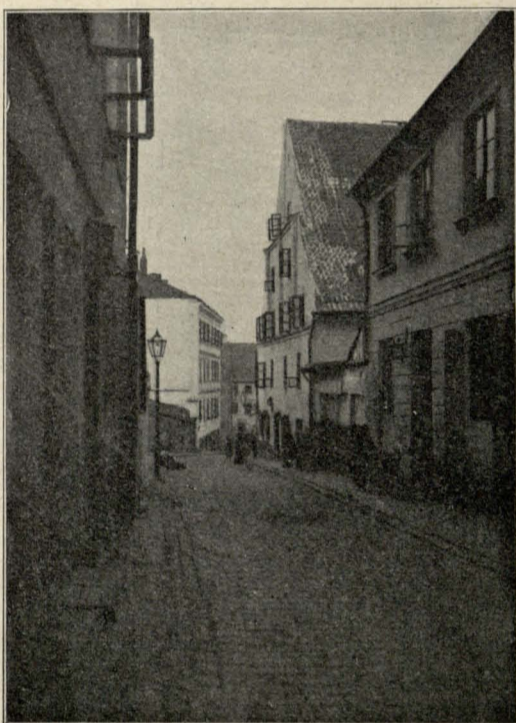
mek Pogończyk, witeż nieustraszony, uląkł się po raz pierwszy w życiu... uląkł samego siebie...

Przeszedł wiatr jakiś gwizdzący po boru... rozegnał ómę świetlików i witeż już więcej starucha nie obaczył, ino wciąż klęczał, opierając łeb twardy o pień rosochatego dębu...

Rankiem cisawy sam bez pana wrócił do watahy i nikt już nigdy o Szymku Pogończyku nie słycał...

WL. RENARD.

## Dom prastary przy ulicy Brzozowej w Warszawie.



Dom prastary przy ulicy Brzozowej.

Architektoniczne *nouveautés* z końca i z początku wieku, najczęściej dzieci geszeftu, ożenionego z tandetą, rozpierają się dziś u nas na miejscach najwydatniejszych; czcigodnych zabytków przeszłości szukać trzeba po zaułkach...

Szukanie do łatwych nie należy. Nasze polskie zabytki, oprócz szacownej wiekowej pleśni, pokrywa grubszą jeszcze warstwą—brud wiekowy.

Trzeba mieć szczere i silne ukochanie doby wczorajszej, trzeba posiadać żelazną wytrwałość odkrywców, żeby pokonać wszelkiego rodzaju wstręty i przeszkody, jakie przy tych badaniach spotyka się na każdym niemal kroku.

Historia kultury zapisać powinna przygodę, która w ostatnich latach XIX-go wieku spotkała ś. p. F. K. Martynowskiego w jednej z sien staromiejskich.

Zapalony starożytnik wstąpił tam, żeby nacieszyć się widokiem prześlizniętej balustrady schodowej—zabytku polskiej ślusarszczyzny artystycznej z wieku XVI-go.

Podczas gdy, zatopiony całą duszą w tem arcydziele, odrysowywał je w swym notatniku, stróż miejscowy krążył dokoła, spluwając i pomrukując coraz głośniejszą a gniewniejszą. Nagle, z podniesioną do góry miotłą, rzucił się na archeologa, krzycząc:

— A pójdźcie stąd, złodzieju! Dam ja ci cudze *kunty* przepatrować!

Martynowski został zwymyślany i siłą na ulicę wypchnięty. Może mu się nawet i miotłą dostało.

Mnie wprawdzie podobny wypadek nie spotkał, dużo jednak wstrętów pokonywać musiałem i muszę, chcąc prowadzić ciężkie dzieło odkopywania z pod lawy (czytaj: z pod brudu) polskiego Herkulanum, któremu na imię *Antiqua Varsovia*.

Już samo chodzenie po takich ulicach, jak Kamienne Schodki, Brzozowa, Bugaj i t. p., stanowi pewnego rodzaju bohaterstwo, cóż dopiero, gdy trzeba tam czynić pilniejsze oględziny, wstępować do domów, czynić zdjęcia fotograficzne, rozpytywać, zapisywać.

Jest naprzykład przy ulicy Brzozowej wielki dom, uderzający samą zewnętrzną. Dość spojrzeć nań, aby poznać, że co najmniej *pięć stuleci* dźwiga na krzepkich barkach, na wyniosłym czole.

Odfotografowanie tego domu przedstawiało trudność prawie niepokonalną. Źródłem tej trudności były nie tyle złe warunki miejsca (bardzo wysoki budynek w bardzo wąskiej, spadzistej, prawie zawsze ciemnej uliczce), co zulusowska ciekawość i dzikość mieszkańców. Rozsuniecie aparatu wywoływało tam natychmiastowe zbiegowisko, i to zbiegowisko figur „z pod ciemnej gwiazdy“, ohydnych, bezczelnych, strasznych. Czterokrotnie musiałem kapitulować, tuzin klisz zepsuć, jeśli zaś mogę pochwalić się dziś osiągniętym rezultatem, to doprawdy on wart, żeby go pomieścić obok nansenowskich zdjęć okolic podbiegunowych...

Nad wejściem tego domu prastarego był niegdyś wmurowany kamień z herbem Baryczków i napisem łacińskim. Wspomniał o tym kamieniu wydawany w Warszawie przed 50-ciu laty przez Bolesława Podczaszyńskiego „Pamiętnik Sztuk Pięknych“. Tam również powtórzono ów napis, który brzmiał, jak następuje: *D. O. M. Albertus Baryczka S. R. M. Ab. expensis avenariis suo amicorum et posteritatis usui Civitatis Ornamento a fundamentis posuit anno a partu Virginis 1629*. Opierając się na tym napisie, autor artykułu twierdził, że dom we wspomnianym roku został wybudowany.

Zanim ostatnie twierdzenie poddam krytyce, zaznaczam, że herbu i tablicy z napisem już niema.

Co gorsze, niema i drugiego kamienia, o wiele starszego i ważniejszego, który był wmurowany od strony podwórza. Na szczęście odrysował go był niegdyś z natury ś. p. Adolf Ditrich, i podobiznę tego rysunku do notatki niniejszej dołączam.

Ostatni kamień był i pozostał dla archeolo-

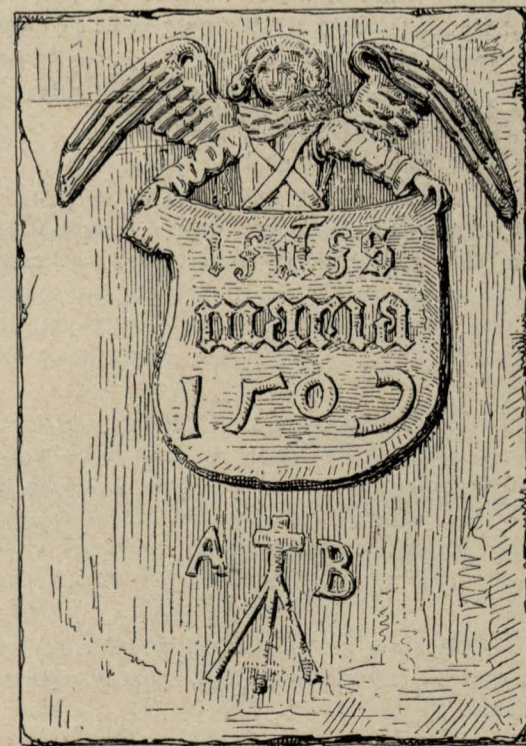
gów i krytyków—zagadką. Data na nim szanowna: rok 1509. Litera w napisie mają kształt gotycki; sam napis brzmi: *Jesus* (dosłownie *Isuss*) *Maria*. Tarcza ma kształt niezwykły, trzyma ją anioł z podniesionymi skrzydłami. Nie jest to znak herbowy. Poniżej tarczy wykuto znacznie później, zapewne w wymienionym na drugim kamieniu roku 1629, herb Baryczków oraz inicjały A. B. (Albertus Baryczka). Robota niezadarna; pomysły nie godny uczciwej i rozumnej rodziny starowarszawskiej.

Trudno odgadnąć, jakie koleje przechodziły te dwa, zgoła do siebie niepodobne, kamienie. To wszakże pewne, że jeden przeczy drugiemu. Jakże dom, istniejący już w roku 1509, mógł być wznoszony *a fundamentis* dopiero w 120 lat później?

A i styl tej niezwykłej budowli świadczy o jej starszym, niż wiek XVII-ty pochodzeniu. Niewiadomo, ile zmian, przekształceń, zbrzydzeń, szkód, pospolitości wyniosła tam niszcząca wszędzie, a u nas zawsze zabójcza, fala czasu, ale z ogólnych, zasadniczych linii widzi się, że ten dom pamięta czasy książąt mazowieckich.

Gdyby starożytności warszawskie były poddawane tym wszechstronnym, krytycznym, umiejętnym ocenom, które stosują się naprzykład do za-

WARSZAWA



KAMIEŃ NA TYLNEJ ŚCIANIE DOMU NIEGDYŚ BARYCZKÓW  
nr 210. Ulica Brzozowa.

bytków krakowskich, owa tablica (nie istniejąca już dziś, niestety, *in natura*) dostarczyłaby wątku do bardzo ciekawych dochodzeń.

Dom, nawet jak na starą budowlę warszawską, jest niezwykle wysoki. Posiada pięć pięter, choć zmieściłoby się tam ich sześć lub siedem. Już wszakże od drugiego piętra zaczyna się nakrycie dachowe. Na dachu pełno bocznych przystawek. Na różnych wysokościach umieszczone są „facyatki“.

Wogóle ten dom osobliwy niczem nie przypomina typowych kamienic z Rynku Starego i ulic przyległych.

Kto wie, czy tablica z aniołem nie została z czoła domu wyrwana i przeniesiona w miejsce późniejsze; zastąpiono ją zaś tablicą o 120 lat młodszą, może również z innego domu przeniesioną. U nas pod tym względem działa się i dzieją rzeczy nadzwyczajne.

Już zresztą autor artykułu w „Pamiętniku Sztuk Pięknych“ zaznacza, że tablica nosi ślady późniejszego wmurowania, oraz — ognia. Widocznie zatem dom był dotknięty pożarem, i zapewne po tej katastrofie nastąpiła zmiana tablic.

Czy dom, o którym mówimy (nr. hip. 110, polic. 22), był zawsze zamieszkiwany?

Jest to w tym razie pytanie zasadnicze i dające podstawę nowym hipotezom. Do czynienia tych ostatnich upoważnia już poniekąd niezwykła zewnętrzność, budynku, nieregularny rozkład i mały rozmiar jego licznych bocznych okienek, wreszcie: położenie prawie nadrzeczne. (Pamiętajmy, że przed kilku wiekami Wisła płynęła znacznie bliżej miasta, że dzisiejsza t. zw. „Prochownia“ stanowiła właśnie przyczółek mostu i t. p.).

Przeglądamy stare drukowane i niedrukowane taryfy, rewizje gospód i inne odnośne

materyały i znajdujemy w nich stwierdzenie swych przypuszczeń.

Początkowe dzieje prastarego budynku pozostają nadal pokryte tajemnicą; natomiast z zupełną już pewnością możemy twierdzić, że w wieku XVII i XVIII on był — śpichrzem.

Jeszcze w roku 1784 pod tym numerem jest zapisywany „Śpichlerz JW. Szymanowskiego R. K.“. Później dopiero występuje w tem miejscu „dwo-

rek“ tegoż Szymanowskiego (następnie Podbielskiego), i ten dworek dopiero w początkach zeszłego stulecia, już za Księstwa Warszawskiego, staje się „kamienicą“.

Istnienie w tem miejscu śpichrza w wieku XVII stwierdza „Regestr rewizji miasta Starej Warszawy“ z roku 1669. Tam przy opisie „ulicy, Między Śpichlerzami nazwanej, idąc do Wisły na zawału, ku fortecie miejskiej“, wymieniono pod Nrem 444 „dom Pana Gintera Juliusza przy śpichlerzu — izdebka mała, w której dziad mieszka, co śpichlerza pilnuje“.

Ale co na śpichrze czyniłaby tablica z aniołem? z imionami „Jezus“ i „Marya“ na tarczy?

Tu właśnie zaczyna się mrok, czekający na rozproszenie.

Zanim znajdzie się taki, co tego dokona, pozwolę sobie zapisać mimochodem wiadomość, usłyszaną od jednego z „brzozowian“, to znaczy: Brzozowej ulicy mieszkańców.

Szukając za wszelką cenę „punktu“ do zdjęcia fotograficznego, znalazłem się na drugim piętrze w domu, położonym naprzeciwko, w mieszkaniu starego eks-krawca, dziś zapewne rentyera.

— A! — rzekł, otwierając przede mną uprzejmie okno — to pan chce zdjąć ten stary kościół?

— Kościół?! — powtórzyłem w najwyższym zdziwieniu.

— Ano, miał tam być kiedyś kościół. Kiedym był jeszcze małym chłopcem, mówił mi o tem pewien ksiądz sędziwy, pijar...

Z tą hipotezą nigdzie się dotąd nie spotykałem; nie zapisała jej też żadna z historii naszego miasta.

Ale może owym pijarem był ksiądz Kurowski, pierwszy historyograf grodu mazowieckiego, autor cennych, dotąd częściowo tylko wydanych „Pamiętek Warszawy“?...

WIKTOR GOMULICKI.

## INWOKACJA.

Szumcie, świerki! a może w tym przeciągłym  
szumie

Dusza chociaż na chwilę znajdzie i zrozumie  
To, co ginie tam w dole, w gwarnej ludzi  
tłumie.

Może, chyląc się w gęstwie świerków, jak na  
straży,

Dosłyszę szum daleki podniebnych husarzy,  
Zobaczę, jak się hufiec mar na skrzydłach waży.

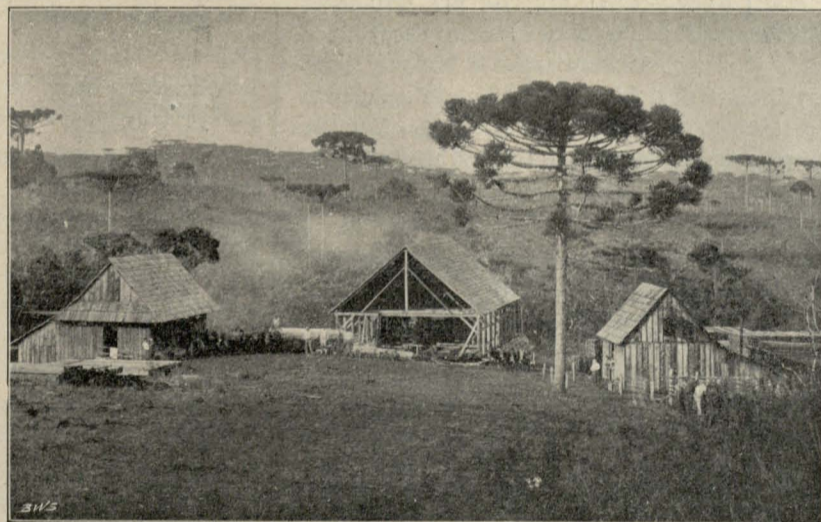
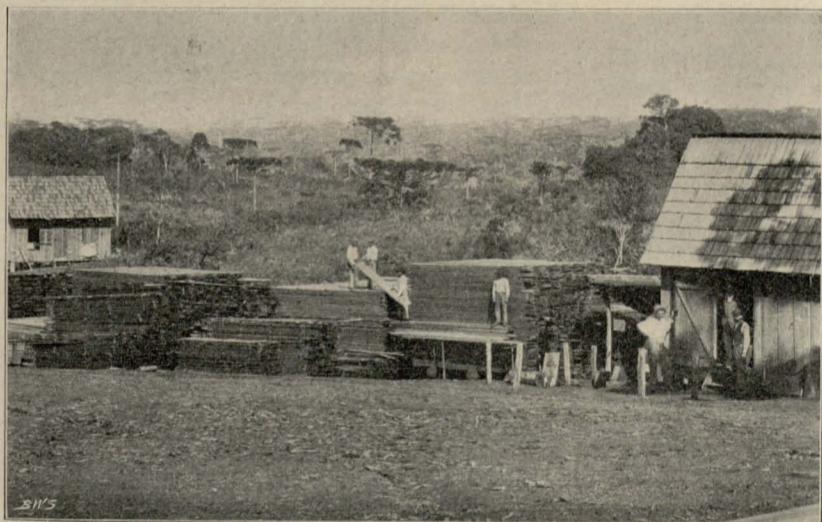
Przymykam oczy!... Śpiewaj lesie, niech się mieni  
Na tle ametystowo-złocistej przestrzeni  
Łańcuch długi, żałobny pochylonych cieni...

Bywajcie mi! odwieczni gazdowie tych stoków!  
Rozkuci wyobraźnią z niepamięci oków,  
Wyłamani wspomnieniem, jak tęcza z obłoków.

Bywajcie mi! i niechaj w młodzieńczym zapale  
Skrzeszę iskrę natchnienia o zbrój waszych stałe,  
Niech spocznie na mem czole, jak orzeł na skałe,

Dłoi wasza...

STEFANIA PODHORSKA-OKOŁÓW.



Tartak firmy „Warchałowski & Neyman“ w Paranie.

## Dziewicze lasy w Paranie.

Brazylię znamy jako kraj złota, drogich kamieni, rzek olbrzymich i lasów dziewiczych.

Opatrzność, dłonią szczodłą rozrzucając dary po tej krainie mlekiem i miodem płynącej, w Paranie, miasto kruszców błyszczących, miasto diamentów i kamieni kosztownych, dała człowiekowi pinior, drzewo błogosławione, które na budowy domów mu służy, z którego świątynie swe stawia, którego owocami się karmi.

Araukaria brasiliensis — to jest nazwa naukowa piniora. Drzewo to panuje na całym płaskowyżu Parany, nadając swym wyglądem charakterystycznym smutny, melancholijny wyraz krajobrazowi i lasom, przypomina jakiś byt ubiegły, jakiś okres niedokształcony historii ziemskiej, wygląda jak skrzył olbrzymi z węglowej epoki.

Wzrost piniora dochodzi do 40—50 metrów, objętość średnia 2 do 6 metrów, nie rzadkie są

jednak okazy, mające 9 do 10 metrów objętości. Cechą charakterystyczną piniora, która go robi wyjątkowo cennym materiałem dla eksploatacji, jest pień prosty z nieznacznym zwężeniem ku górze, tak, że na wysokości 20—25 metrów średnica wynosi o kilkanaście centymetrów mniej niż u dołu; okazy, mające na tej wysokości metr i więcej, są pospolite; wpływa to na wydajność kłoców, które dają nieznaczny procent okrawków i opiłek.

Budową tkanek przypomina pinior naszą sosnę, z tą różnicą, że stój ma o wiele drobniejszy, zwiezły i przepojony żywicą, kolor drzewa jest rozmaity, od białego do ciemnoczerwonego i prawie fioletowego. Sloje, chociaż proste, ale zabarwione niejednako, układają się często w przesłiczne rysunki, co czyni pinior bardzo poszukiwanym materiałem meblowym, chociaż główny cel, na jaki bywa eksploatowany, to budulec. Przepojony żywicą, twardy, giętki zarazem, przedstawia pinior wyjątkowo cenny materiał budulcowy, poszukiwany dzisiaj na rynkach nie tylko Brazylii, ale i Argentyny, gdzie wypierać zaczyna budulec północno-amerykański i europejski.

Trudności przewozowe, brak rąk roboczych, koszta olbrzymie eksploatacji, sprawiły, że i w Brazylii pinior do ostatnich czasów mało był znany. Stany północne, poczynając od San Paulo, sprowadzały drzewo ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Norwegii, Finlandyi, a nawet z Tryestu. Dziś, dzięki protekcyjnistycznemu systemowi celnemu, pinior nie tylko zaczyna już teraz konkurować, ale wycieśniać towar zagraniczny, i niewątpliwie w blizkiej przyszłości zastąpi go całkowicie. Jeśli dziś pinior znosi konkurencję budulca zagranicznego, to tylko dlatego, że rynki miejscowe potrzebują materiału budowlanego znacznie więcej, niż Parana może dostarczyć. Wina tu słabego zaludnienia kraju i małej przedsiębiorczości jego mieszkańców.

Eksploatacja lasów piniorowych, mimo to, zrobiła w ostatnich dwóch latach w Paranie znaczne postępy. Z ilości dwudziestu kilku tartaków liczba ich wzrosła do końca 1907 roku do sześćdziesięciu trzech. Większość tych tartaków pracuje jedną piłą i tylko kilka najnowszych posiada trzy, cztery piły; pierwsze produkują 5—8 tuzinów dziennie, ostatnie 30—40 tuzinów. Powodem słabej wytwórczości jest, jak już wspominałem, brak kapitałów, wysokie koszta eksploatacji i specjalne trudności, związane z budową tartaków. Duży tartak, który powinien ze względów ekonomicznych być budowanym w lesie, który się ma eksploatować, potrzebuje dużego motoru paro-



Parana.—Przewózka kłoców do tartaków.

wego, albo dużego urządzenia hydraulicznego. Pierwszy trudno w parańskich warunkach przewieźć na miejsce, drugie nie opłaci się, ponieważ, po skończeniu eksploatacji danego obszaru, wypadnie je porzucić, albo więc amortyzacja musi następować szybko, co koszta eksploatacji podniesie, albo część kapitału zakładowego spisnąć trzeba będzie na stratę.

Z czasem, gdy w grę będą wciągnięte znacznie większe kapitały, trudności te będą usunięte przez budowę kolejek wązkotorowych, które dzisiaj przeważnie nie wytrzymują rachunku, ze względu na małe obroty przedsiębiorstw.

Eksploatacja danego obszaru zaczyna się od wytknięcia i uporządkowania dróg, które są zawsze najszerszą stroną każdego tartakowego przedsiębiorstwa, wymagają stałego remontu i opieki; tartak, o ile jest poruszany siłą motoru gazowego, zostaje umieszczony w miejscu centralnym, jeśli na to pozwalają warunki; jeśli las nie posiada dostatecznie dużej polany, wystawionej na wiatry, przedsiębiorca zmuszony jest budować tartak nieraz na skraju, by zapewnić sobie odpowiednie warunki dla suszenia drzewa.

Tartak w lesie otoczony bywa szeregiem domków, które zamieszkuje obsługa, powstaje tu zwykle sklep spożywczy, osada przybiera powoli cechy jakby miasteczka.

Do przewozu kłoców i desek używają przeważnie mułów, konie są za nerwowe, za słabe i wymagają paszy o wiele lepszej, niż pierwsze, które jako bydła pociągowe nie mają wprost ceny. Koń, natrafiwszy na przeszkodę, rzuca się w szleję raptownie, rwie uprząż, lub staje i opiera się, jeśli nie wiemy, że przeszkoda jest do przebycia; muły kładną się w szlejach poprostu, powoli, ze wzrastającym wysiłkiem, naciskają przeszkodę, ze zdumiewającą zgodnością, wszystkie razem, wyginając silne grzbiety, wrywają wóz z wyboju, czy z pieńka, pod którym ugrzązł. To też cena tych stworzeń pożytecznych wynosi dwa razy tyle co konia; jest to usprawiedliwionem tembardziej, że muły żyją znacznie dłużej, niż konie: dwudziesto, trzydziestoletni muł może pracować jak młody, kiedy koń nie przedstawia w tym wieku żadnej wartości.

Na niektórych tartakach do wyciągania kłoców z gąszczy na drogę centralną używają wołów, które tę robotę ciężką zupełnie dobrze wykonywają, w tym razie nie używa się wozu, a tylko saneczek lub półwozia najwyżej. Kloce największe ładują na wozy lada, jakiej i w Polsce się używa, robota idzie szybko i zgrabnie; ta sama lada służy do zładowania kłoca na tartaku.

Do charakterystycznych cech eksploatacji lasów brazylijskich należy pilnowanie, jak to mówią, miesiąca. Wyrębu zimowego, który byłby dobrym

z innym drzewem, robić tu nie można, bo pinior piłować można na tartaku tylko w stanie świeżym; zawięzły nie daje się prawie pociąć, wymagając ciągłego ostrzenia pił i znacznie większej siły. Wobec tego nie można w lesie trzymać zapasów kłoców, trzeba je przygotowywać w miarę potrzeby; z doświadczenia jednak wiadomo, że pinior ścięty na nowiu lub wogóle podczas rosnącej kwadry, ulega szybkiemu gniciu i robaczywieje w przeciągu nieraz tygodnia. Niema to miejsca z drzewem, ściętym podczas ubywania księżycy. Objaśniają to tem, że księżyc rosnący przyciąga soki w górę, które po ścięciu łatwiej ulegają psuciu, przy ubywaniu księżycy soki opuszczają się na dół, co chroni drzewo od robactwa i zgnilizny.

Ceny na materiał drzewny są ustanawiane przez rynki drzewne w Rio de Janeiro, San Paulo i w Buenos Ayres, ceny od dłuższego czasu ustaliły się poważnie z tendencją na zwyżkę, wobec wzrastającego zapotrzebowania skutkiem olbrzymiego wzrostu tych miast. Dość powiedzieć, że w roku 1900 Rio de Janeiro liczyło niespełna siedemkroć sto tysięcy mieszkańców, w początku zaś bieżącego roku liczba ta wzrosła do miliona trzykroć sto tysięcy.

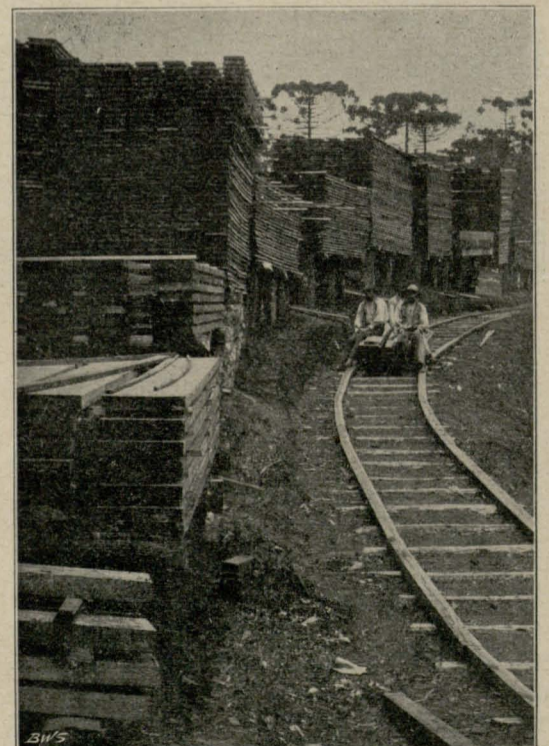
W danej chwili za tuzin desek całowych dwunastocalowej szerokości płaci się loco Parana 18 i pół milrejsa, czyli około dwunastu rubli; na tartaku wyniesie to około ośmiu, dziewięciu rubli, zależnie od odległości od kolei—to znaczy, że przeciętny pinior, jeśli liczyć tylko materiał pierwszej klasy, daje 40 do 70 rubli, do 120 rubli za wyjątkowe egzemplarze.

Jeśli zważymy, że przeciętnie cena piniora w lesie waha się między dwoma do pięciu rublami, przyznać musimy, że przy największych nawet cenach eksploatacyjnych przedsiębiorstwo tartakowe uważać trzeba za wyjątkowo zyskowne i na czas pewien wskazane jako najbardziej korzystna lokata kapitału.

K. WARCHAŁOWSKI.



Ścinanie piniora (araukaryja).



Parana.—Kolejka podjazdowa w lesie.



## Na pograniczu Rosji, Persji, Turcji.

W dwóch wschodnich stolicach: Teheranie i Konstantynopolu, wre i kipi. W Persji szach rozwiązał medżylis i zaledwie obiecuje zwołać nowy sejm państwowy, rządząc tymczasem krajem przy pomocy kozaków, pod dowództwem Lachowa, w Turcji tymczasem sułtan świeżo przywrócił konstytucję i zapewnił narodowi wolność.



Uzbrojeni Kurdowie z bronią w ręku.

W Teheranie reakcja, w Konstantynopolu — zapowiedź liberalizmu. Tu i tam ludność przeżywa historyczne momenty w całym znaczeniu.

Na wypadki polityczne w obu państwach najmniej spokojnym jednak okiem spoglądać może Rosja, z jednej strony, jako najbliższa sąsiadka krajów, z drugiej, jako mocarstwo, posiadające na swych terytoriach ludność wspólną, zarówno dla Persji, jak Turcji.

Wypadki nad Bosforem i w Teheranie nie przechodzą bez wrażenia na Kaukazie zwłaszcza, gdzie usposobienie ludności miejscowej i bez tego do pokojowego nastroju zaliczyć niepodobna.

Sfery dyplomatyczne w Petersburgu nie bez powodu obawiają się, że Armeńczycy poczną odąd jawnie ciążyć ku Turcji, jako do kraju już posiadającego konstytucję, w przeciwieństwie do Rosji, gdzie Dumy nie można nazwać jeszcze prawdziwym parlamentem.

Rządząca partya Młodoturków zapewnia nadto wolność narodowościom podległym, wtedy, kiedy październikowcy i prawica w Dumie ogłaszają wojnę wszelkim „inorodcom“.

Prasa rządowa i półrządowa w Rosji z pewnym niepokojem spogląda więc na przyszłość najbliższą na Kaukazie.

Nadmiar przyłączają się znaczne powikłania polityczne, związane z sytuacją nieporozumień granicznych, między Turcją i Persją.

Jak wiadomo, bardzo niedawno obu tym państwom groziła wojna jawnie manifestowana. Zabiegłości dyplomatycznej Londynu i Petersburga zawdzięczać narazie należy, że po zajęciu części terytoriów perskich przez wojska tureckie ostatecznie nie doszło do poważnych wybuchów.

Ale sytuacji dotąd jeszcze nie można uważać za wyjaśnioną. W grę tu wchodzi nie tylko dwa państwa, ale rolę nie małoważną spełnia narodowość pośrednia — Kurdowie — klinem wbijająca się między naturalną, etnograficzną granicę persko-turecką.

Kurdowie, naród irański, bardzo wojowniczy i rozbójniczy, zostają pod zwierzchnictwem Turcji, Persji, a w części Rosji, ale na jedną chwilę marzyć nie przestają o niepodległości państwowej.

A nie jest to narodowość zbyt słaba liczebnie. Razem dosięga trzech milionów głów, z czego na Turcję przypada około dwóch milionów, na Persję niespełna milion, na państwo rosyjskie z górą sto tysięcy.

Kurdowie, przedstawiając element rzutki, energiczny, odważny, mający swój własny język i swoją historię, oczekują jedynie sposobności, aby wyzyskać osłabienie swoich władców państwowych i ogłosić niepodległość.

Nie było wojny, lub powikłań tylko politycznych Turcji, czy to w r. 1829, czy w 1830—32, czy 1853, czy wreszcie w 1876, aby z pośród Kurdów nie wysuwali się ich przywódcy narodowi, występujący na arenę pertraktacji dyplomatycznych z mocarstwami europejskimi, wobec których obwieszczali się hetmanami Kurdystanu!

Ze względu na największą zależność dotychczasową od Turcji, Kurdowie często przechylali się na stronę Rosji, zanim jednak przypuszczano nawet możliwość porażki japońskiej.



Okolice na granicy Persji.



Odąd Kurdowie marzą o ogólnym zjednoczeniu się trójzaborowym, a nerwowością zachowania się zdradzają, że nie obcą im jest chęć skorzystania w tej chwili z zamieszania turecko-perskiego.

Kurdowie pragną więc wypłynąć na widownię.

Czy Rosja może spokojnym spoglądać okiem na tego rodzaju przygotowania?

Odpowiedź gotową znajdujemy w jednym z ostatnich numerów *Nowoje Wremia*, gdzie niejakiś „wartownik kaukaski“ każe sferom politycznym pilną zwrócić uwagę na Kurdów, i poczynić wszystko, aby pozyskać ich sympatyę dla Rosji.

Zdaniem korespondenta, Kurdów, Petersburg znakomicie może wyzyskać w razie jakich powikłań politycznych na Wschodzie.

Marzący o samodzielności Kurdystan, wątpimy, aby zapragnął jednak zostać narzędziem w czyjejkolwiek ręce.

Narody wschodnie mają znaczne poczucie indywidualności.

G.



Manifestacja przed pałacem Wysokiej Porty w Stambule 24 lipca.



Manifestacja na jednej z ulic Stambułu 26 lipca.

### Sytuacja w Turcji.

Dzieją się teraz w Turcji rzeczy piękne obok tajemniczych, fantastycznych i groźnych. I tak dobrowolnie złożyło broń 50 „band” bułgarskich, 18 greckich i 3 wołoskie. Przywódcy tych powstańczych oddziałów przybyli do Salonik, a tam młodotureccy oficerowie wydali na ich cześć obiad. Wśród tak podejmowanych gości znajdował się wieloletni dowódca drużyn bułgarskich—Sandański.

Obraz zaiste wspaniały! Niedawni nieubłagani wrogowie, którzy staczali ze sobą mordercze boje, boje bez przebaczeń, święcą święto braterstwa na gruzach tyranii, w imię wielkiej przyszłości, której na imię Wolność ludów.

To, co wczoraj jeszcze wydawało się „trzeźwym” politykom mrzonką, lub co najwyżej „frazesem” z epoki r. 1848, dziś spełnia się z tą naturalną prostotą, jaką daje zawsze najbliższe, najbardziej „niebezpieczne” rozwiązanie—zaspokojenia słusznych żądań tych, co wolą śmierć, niż niewolę.

A cóż powiedzieć o tych zgromadzeniach kobiet tureckich, które wystąpiły teraz w wielu miejscach państwa bez zasłon na twarzach? Kto czytał powieść Lotiego o tych niewolnicach, co od czterdnastego roku życia aż do zgonu spędzają życie w haremach, zamknięte jak zwierzątka w klatkach, o tych przesubtelnych kobietach, które wychodzą zamąż, nie znając wcale do dnia ślubu swojego oblubieńca, i które nie mogą podróżować po szerokim świecie—ten zrozumie cały ogrom przewrotu, jaki teraz ma miejsce w państwie Padyszacha.

Obok tych wieści, jak z bajki, dochodzą wciąż takie, które wyglądają na wschodnią, groźną fantazję.

Pisano, na przykład, o jakimś tajemniczym statku, który wszedł do stambulskiego portu bez flagi. Wspomniano o tem, że młodoturcy stawiają naprzeciwko Dolma-Bageze i Yildiz-Kiosku własne okręty wojenne, które strzedz mają sułtana przed zboczeniami z konstytucyjnej drogi.

Wiadomy jest fakt aresztowania kilku ministrów z inicjatywy tajemnego komitetu centralnego młodoturków. Wiadomą jest przeprowadzona za zgodą owej tajnej władzy zmiana gabinetu, którego kierownikiem został Kiamil-pasza na miejsce niepewnego Saida-paszy. Chodziły wieści, że sułtan zamierza ratować się ucieczką na owym tajemniczym okręcie bez flagi, w obawie detronizacji i śmierci, lub więzienia zapewne—ze strony młodoturków, którzy pragną podobno wprowadzić na tron młodszego syna Abdul-Hamida—Reszyda. Są wieści o żonach byłych, aresztowanych już ministrów, że musiały uciekać przed zemstą tłumów w europejskich przebraniach...

Dziś już—jak zapewniają—obaw o detronizację sułtana niema. Gabinetowi Kiamila-paszy nakazała posłuch jedyna teraz właściwa władza w Turcji—komitet młodoturecki—w odezwie do ludności. Istotnie, sułtan, jako figura symulująca „spokój”, potrzebny jest zwolennikom reform wobec Europy, która zapewnia, że tylko dlatego nie wycofuje swoich oficerów z Macedonii, że nie wie, czy tam zapanuje „porządek”, czy nie...

Najefektowniejszą jest jednak wiadomość, że zwolennicy reakcji, dziś uwięzieni, wszyscy byli sługami Niemiec—że byli oni poprostu płatnymi ich agentami, i że ludność turecka wciąż wrogo manifestuje przeciw Niemcom.

W zawieszeniu pozostaje jednak kwestya pierwszorzędnej wagi: czy wszędzie ludność staje po stronie konstytucyj? Czy są żywioły, pracujące nad obaleniem zaufania ciemnych mas do reform?

Niewątpliwie, że bez rozlewu krwi nowy porządek rzeczy się nie utrzyma. Może i Europa w to palce umoczy?... Kto wie?... M.

### Podśluchane.

... Wiedziony przerażającą nudą wolnego przed sobą wieczoru, sam niewiem jak, znalazłem się obok Filharmonii.

Kupiłem więc bilet do „Małego” i niebawem znalazłem się w jednym z pierwszych rzędów... pustej sali.

— „Cóż znowu! Drugi raz dopiero dają, podobno dobrą sztukę, godzina ósma bez pięciu, za chwilę

czas zaczęcia przedstawienia, jak zapowiada afisz—a ja jestem prawie jedynym widzem. Czyżby takie miały być dzisiaj pustki?!”

Pełen tych niezbyt wesołych refleksji, rozsiadłem się w wygodnym fotelu i postanowiłem bądź co bądź czekać. Spokojnie tedy minęła godzina ósma, i dopiero teraz rozpoczął się powolny ruch napływającej publiczności.

— „Aha, więc to tylko nasza warszawska punktualność!”—pomyślałem, słuchając wzrastającego gwaru na marmurowych schodach i coraz głośniejszych nieporozumień za kotarami, pomiędzy paniami a woźnymi—naturalnie o kapelusze...

Nagle, parę krzesel tuż przedemną zajęła miejsce małżeńska para.

Znałem ich z widzenia tylko, jako ludzi ze swojego towarzystwa, a o „pani” słyszałem nawet nieraz wiele zdań sympatycznych. Jest to jeden z tych typów kobiecych, które obok większego, niż przeciętny, rozsądku, łączą w sobie ciche, kobiece powab...

Nieza długo mąż, korzystając z opóźniającego się przedstawienia, wyszedł na papierosa, a do żony przysiadł się jeden ze znanych w mieście, poważniejszych literatów.

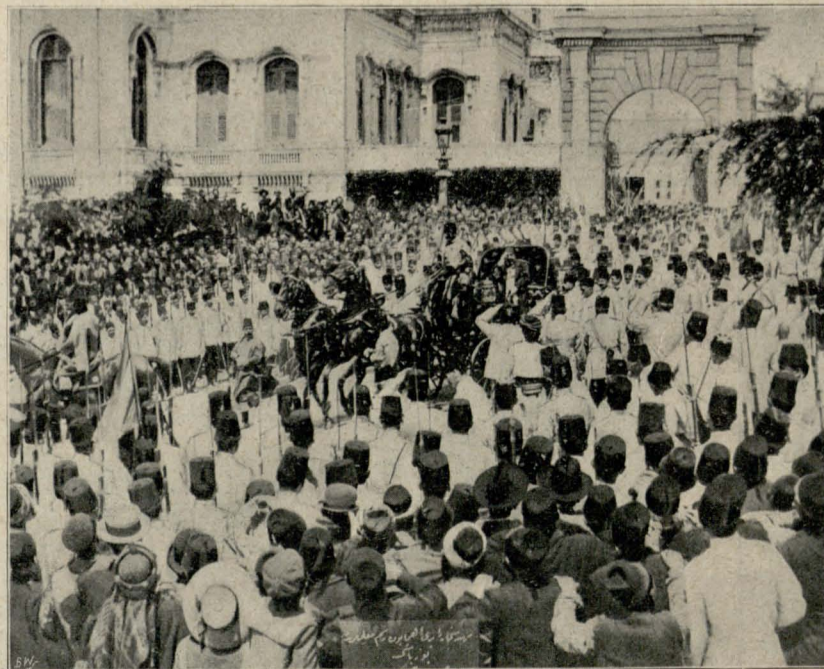
— Widzę, że te ogórkowe czasy nie są jeszcze tak złe, skoro można spotkać w teatrze nawet państwa—wyrzekł z galanterią, przy powitaniu. — Ale doprawdy, co pani robi obecnie w naszej biednej, opustoszałej Warszawie?...

— Jestem też tylko przygodnie—na dwa dni!—odparła pani. — Spędzam bowiem całe lato w naszym wiejskim kąciku, gdzie mi jest zawsze—jak pan wie—najmilej... Widzi pan, siedzi we mnie jeszcze wiecznie natura urodzonej wieśniaczki—co sprawia, że nic nie zdoła mi zastąpić kawałka „prawdziwej wsi!”...

— Wiem, wiem! — pokiwał głową redaktor. — A za granicę, nie pojedziecie już państwo nigdzie?...

— A właśnie, co do tego, ważą się obecnie losy... Mąż mój, zmęczony nieco pracą, chciałby jeszcze przed nadejściem jesieni odetchnąć trochę swobodą i namawia mnie na krótką, bodaj parotygodniową wycieczkę... A ja, przyznam się, zbyt trudną do namowy nie jestem!... Dobrze jest czasem oderwać się choć na krótko od codziennego, bodaj sercu najbliższego, otoczenia i zaczerpnąć z szerokiego świata nieco świeżych wrażeń... Ja to bardzo rozumiem — i kto wie, czy w niedalekiej przyszłości nie znajdziemy się nad błękitnym jeziorem... „czterech Kantónów”...

— Szwajcary!... Ależ na miłość boską!... Dłaczęgóż w takim razie nie wybieracie się, kochani państwo, nad czarne wody „Morskiego Oka”? — oburzył się re-



Wyjazd sułtana i ukazanie się ludowi w pierwszy piątek po ogłoszeniu konstytucji 31 lipca r. b.



Manifestacja na Perze z powodu ogłoszenia konstytucji w dniu 27 lipca. Orszak wychowawców szkół wojennych i wyższych zakładów naukowych w Stambule.

daktor. — Czyż zawsze tylko mamy wywozić pieniądze daleko za granicę...

— Zna pani pewnie Zakopane?

— Ze wstydem wyznaję, drogi panie, że nie znam... — odparła zażenowana nieco młoda kobieta — i to wyda się panu tem dziwniejsze, że poza tem znam prawie całą Europę... Ale widzi pan — my z mężem, boimy się trochę Zakopanego. Tam jest za dużo znajomych.

— A pfe! Mówi pani, jak osoba mało towarzyska, a znając ją; wiem przecie, że jest inaczej... Myśli Pani raczej, że w Zakopanem nie znajdziecie tych bajecznych urządzeń, komfortu i udogodnień... że nie zrobi pani jednym dniem wycieczki na śnieżny szczyt Righi, lub Pilatusa... No tak, zapewne!.. Ale niechże pani przeczyta, co o Zakopanem pisał niedawno Hösick, a przekona się pani, że tam teraz też Europa! — Europa, w całym tego słowa znaczeniu: połączenie kurierskie z Krakowem, samochód do „Morskiego”, stroje, rejunony, etc... Niechże pani sobie to przeczyta!..

Pani roześmiała się swobodnie, a potem zrobiła się poważną..

— A wie pan, że mieliśmy z mężem przez czas pewien i tę myśl, ale właśnie ten artykuł w Kuryerze odstraszył nas ostatecznie...

— Pani chyba żartuje... Ce n'était qu'un hymne de louanges!..

— A właśnie... Ale jak dla kogo, proszę pana... Uczynił mi pan niechcący pewien poważny zarzut, z którego muszę się poważnie wyłomaczyć. A więc będę z panem zupełnie szczerą... Czy wie pan, że gdybym teraz oto wybierała się do Zakopanego, musiałabym przedtem ze dwa tygodnie siedzieć tu, w Warszawie, i wydać co najmniej z pół tysiąca rubli na przygotowanie sobie odpowiednich tualet!.. Jadąc na wieś, obchodzę się doskonale tem, co mam, — podczas gdy w tych „naszych górach”... Pani!.. Teraz ja powiem, abyś przeczytał uważnie korespondencję Hösicka — przecie to niczem Ostenda!..

Więc to całe morze prześlicznych kapeluszy

na werandzie u Dzikiewicza, i ten wykwintny gust wieczornych tualet na reünionach u Chramca, i piękne kostyminy angielskie, spotykane na spacerach... Pan wie... ja do strojących się wcale nie należę, — ale przyznam się, że nie lubię być żenowaną nieodpowiednią suknią w gronie swoich znajomych! Il faut bien, cependant, se marier avec son entourage. N'est-ce pas?..

A znów sprawić sobie specjalnie, a potem myśleć o pakowaniu, przynajmniej sześciu sukien — wyjeżdżając na dwa lub trzy tygodnie... Nie, to nad moje siły!.. — Jadąc do Lucerny, czy Brunnen, zabieram ze sobą jeden kostyum na siebie, a drugi do kuferka, i z paroma jeszcze bluzkami — mam aż nadto dosyć!.. Siedzę bowiem nieraz przy table-d'hocie obok Anglika, który z całym, zwykłym sobie sans-gêne, przyszedł do stołu z wycieczki — w ubraniu turysty.. I niemam mu bynajmniej tego za złe, bo uważam, że to jest prawdziwa Europa, gdzie ludzie, oderwawszy się od codziennych form i towarzyskich obowiązków, używają swobody w całej pełni!.. Czyż nie mam racji — panie?..

Ale jechać tu blisko, do swoich gór, i zna-

lazłszy się pośród mnóstwa znajomych, przemyśliwać tylko, co począć, aby, odwiedziwszy przypadkiem jednych, nie obrazić tem na siebie drugich, — lub też zaszedłszy, powracając z wycieczki, do cukierni na szklankę kawy, znaleźć modną werandę przepelnioną towarzystwem, w strojnych miejskich tualetach i wiedeńskich czy paryskich kapeluszach... A nie, tego nie chcę!.. To już ani swoboda, ani miły wypoczynek — i to niezawodnie więcejby mnie zmęczyło, niż daleka podróż do Tyrolu, czy do Szwajcaryi!..

Młoda pani zarumieniła się, przejęta słuszością swych argumentów, podczas gdy jej towarzysz patrzył na nią z pewnem zakłopotaniem... A ja żałuję, że nie wiem, co myślał sobie literat — kiwał bowiem głową, jakoby z uznaniem, a uśmiech jego był wysoce zagadkowym.

W tej właśnie chwili, na zapełnionej już publicznością sali przygasły światła, i podniesiono kurtynę...

Ale ja długo nie mogłem oderwać myśli od zasłyszanej przypadkiem rozmowy — i zadawałem sobie pytanie: Czy Zakopane w istocie staje się wobec tego „Europą” i czy ten charakter, jaki przybiera, zapewni mu trwałość powodzenia?... AW-A.

### Duchowny działacz niemiecki w Warszawie.

Miastu naszemu nazwisko pastora Fryderyka Palzy jest mało znane. Jako roślina skromna, niewinna postać duchownego działacza ukrywa się w cieniu potężnych drzew i tylko kiedyś, niekiedyś błysnie swoją barwą.

Pastor Palza mieszka wśród nas od lat prawie dziesięciu. Orze i sieje a ziarna przez niego rzucone wydają już dzisiaj owoce.

Z urodzenia nie Niemiec, lecz Estończyk, ale z ducha i przekonań *Alldeutsche!* Zastugi dla

nacyonalizmu niemieckiego p. Palza już był dawniej położony w prowincyi nadbałtyckiej, siejąc antagonizm między tamtejszymi *Bürgerami* a Łotyżami.

Zjawiwszy się na gruncie polskim, pastor Palza nie zaniechał dalszej znoej pracy dla dobra idei wszechniemieckiej.

Zrazu działał w pojedynkę, później zapragnął mieć do pomocy całą organizację. I celu swego dopiął. Dzięki zabiegom pana pastora w Warszawie powstał słynny *Verein zur Foerderung des Deutschtums im Russisch Polen* (Stowarzyszenie do popierania niemieckości w Polsce rosyjskiej).

Niezwykła ta instytucja, otrzymawszy formę stowarzyszenia zalegalizowanego, nie obrała jednak p. Palzy swoim przewodniczącym. Pastor zapragnął usunąć się na plan dalszy i działać wewnątrz towarzystwa, nie manifestując się na zewnątrz.

Na prezesa *Vereinu* obrano p. Albrechta z Żyrardowa, sekretarzem zaś, czy skarbnikiem — znanego w Warszawie ze swej działalności w gminie ewangelickiej, p. Frantzmana, krawca z zawodu.

I niktby nadal nie wiedział nic o pastorzcu Palzy, gdyby nie odezwa *Lodzer Zeitung*, napisana i podpisana przez tego działacza, a zachęcająca do popierania *Vereinu*.



Pastor Fryderyk Palza.

W proklamacyi swojej pastor zawiadamia, że za przykładem większych miast w państwie (sic!) powstał w kraju naszym ów związek popierany przez ludzi „czujących po niemiecku” i do narodowości swojej przywiązanych (!)“.

„Czujących po niemiecku” — wiemy co znaczy *czuć po niemiecku*, a nie znajdować się na terytorium mocarstwa niemieckiego! Wiemy zresztą co znaczy sam tytuł stowarzyszenia, określający *szerzenie* niemieckości w kraju, przylegającym granicą do państwa pruskiego!

To już nie obrona „ludzi mówiących po niemiecku” przed rzekomą polonizacją, ale coś, co graniczy z nazwą prawie nowego zaboru.

Jakkolwiek na zasadzie zatwierdzonej przez władzę ustawy — pisze dalej p. Palza — zwyczajnymi członkami Zarządu mogą być poddani rosyjscy pochodzenia niemieckiego, pastor wyraża jednak gorące życzenie, aby i poddani innych mocarstw (czytać należy: Prusacy!), którzy celom związku „współczują”, zapisywali się doń w charakterze członków wspierających.

Pracę postawiono więc na gruncie szerokim.

Pan pastor Palza, nadmienić nadto wypada, jest nie tylko prefektem w szkołach i wychowuje młodzież, ale jest także kaznodzieją wojskowym na okręg wojenny warszawski.

Mamy więc w Warszawie w postaci p. Palzy sobowtóra słynnego pastora Rosenberga, z tą wszakże różnicą, że p. Rosenberg zadawał sobie skromniejszym terenem pracy w miasteczku pod Łodzią, p. Palza zaś jest działaczem niemieckim na wielką skalę, organizuje towarzystwa i „pracuje” jako nauczyciel szkół i jako kapelan żołnierzy protestanckich, pełniących służbę w armii państwa rosyjskiego.

## Lotosy kwitną...

Gdzie?

W Warszawie. A stało się to za przyczyną naszego Ogrodu Botanicznego. Nie wystarczyło mu posiadać laury włoskie i palmy tropikalne, miniatury (w wazonie) cedrów libańskich i okazy róż bengalskich, przeróżne *sagittaria longirostris* i *thrinax* brazylijskie, *pontederiae* i zawrotnie piękne *euryale*, rozkładające po wodzie ogromne płachty liści, urągających najsubtelniejszej pomysłowości artystycznej ludzkiej...

Czy pamięta kto z tych, co się „klaszczymy zrzekli”, bajecznych Lotofagów z „Odyssei”? Kwiaty przedziwnego smaku spożywali oni, a wędrowiec przybyły do Lotofagów kraju, skoro raz zakosztował upajającego specjału onego, *zapominał* o ojczyźnie własnej i już od czarodziejskich lotosów oderwać się nie mógł—do zgonu. Lotos, z łacińska: *lotus*, ma w źródłosłowie swoim grecki wyraz *letho* — zapominać.

Lotti opowiada o Krainie Wschodzącego Słońca, o dalekiej, błękitnymi morzami objętej Japonii, że kto raz uroki jej i cuda poznał, ten po kres życia tęsknić będzie za nią. Nie przymierzając, jakby czar nań rzuciły lotosy, że o własnej ojczyźnie stał się niepamiętny.

Któryś z perskich poetów wyraził się hiperbolicznie, że kwiat lotosu powstał z odblasku piękności najpiękniejszego z ludzi, a miał nim być—swojego czasu—biblijny Józef, heroiczny ideał żony Faraona. Ógród nasz Botaniczny postanowił dać nam—odbłask czarów i uroków... Japonii. I począł hodować tu, pod szarem niebem polskim, najurodziwsze, jakie przyroda posiada, nenufary, zwane *à l'antique* lotosami *vel* lotusami.

I oto kwitną one rok już drugi u nas. Zakwitają i przekwitają z nielada pompą i ostentacją, jak nie przymierzając gdzie indziej *Victoria Regia*. Dzienniki sygnalizują rozpękanie kolejne kwiatów, podają do wiadomości publicznej godziny najpełniejszej ich okazałości oraz zwiłania płatków na nocny długi spoczynek. I publiczność płynie—płyń—płyń w Aleje Ujazdowskie, do „Botaniki”, oglądać symbole bóstw egipskich i indyjskich, kwiaty owe przepiękne, w których kielichu—podobno—poradzały się bóstwa niejedne, co potęgę miały ongi ogromną nad Gangesem i Nilem.

Dziś bóstwa przestały wogóle na świat przychodzić i na nic, pod tym względem, zda się zaglądać w kwiaty lotosowe i w plany morskie... Ale podobnie jak z mitów i antyków uleciała treść boska a zostały tylko nieśmiertelnie piękne kształty arcydzieł koncepcji ludzkiej lub dzieł sztuki, tak też zczezł mistyczno-boski charakter lotosu a pozostało tylko piękno—istotnie jakby nieziemskiego kwiatu.

Roku zeszłego o tej porze dwanaście tysięcy ludzi przedelfowało mimo lotosów, kwitających w basenie niedużej, specjalnie dla egzotycznych wodnych roślin przeznaczonej oranżeryjki Ogrodu Botanicznego. Naturom subtelniejszym i bardziej uduchowionym nie razilibyśmy jednak uczestniczyć w tego rodzaju wiewowodpustowym korowodzie.

Nie!... W samym kwieciu lotosu jest niedająca się ująć w słowa—dystynkcyja, wyniosłość, mój Boże! jak też dziś wyrwać się z określeniem: arystokratyczność? Splugawiono przecie tyłu „wściekłemi” proklamacyami całą szlachetność tego pojęcia i wyrazu.

Ale, tak... tak! Lotos należy do najrodowitszej arystokracji kwiatowej, prześcigając wysoką rasą swoją nawet królowę kwiatów—różę. I przeto lotos sam oraz nastrój, który wytwarza—nie nosi *profanum vulgus*. Lotos to nie ów śliczny ale ordynarny, gruboskórny nenufar nasz, rozścielający miryady biało-żółtych róż swoich po pierwszym lepszym stawie lub jezioru...

Pójdźmy—jeśli wola—wcześnie, bardzo wczesnym rankiem tam, do „kapliczki” lotosowej w Botanicze. Poupalna świeżość w Alejach. Prawie jeszcze nikogo na warszawskiej letniej promenadzie. Cisza. Nie dzwonią nawet tramwaje elektryczne, pomykające po szynach wolnym, jakby spacerowym biegiem. Na przystanku wysiadły dwie—trzy osoby.

Siwy, lecz rzeźki pan wyprzedził nas i drobnymi kroczkami sunie się szybko w bramę Botaniki. Idźmy



Kwiat lotosu.

za nim. A jakże! Skręca w prawo poprzez tunelkowe przejście i prosto zmierza do lotosów.

I oto one przed nami.

Wystrzeliwszy sporo nad wodę, z dywanu szeroko rozłożonych blade-zielonych liści, pod kopułą szklaną, w wielkiej ciszy, wśród łagodnego rozpylenia blasków słonecznych kwitnie—kwiat kwiatów.

Różowość jego dziwnie subtelna; taką różowość mają przezroczyście, prastare porcelany chińskie. Prostota w nim niezmierna, chętnie powiedziałoby się: klasyczna. Wielki obszar wody, pokryty takimi kwiatami, musi sprawiać wrażenie wielkiego bogactwa w wyszukany smaku. Przy całej sugestywności myśli, że cieplarniany u nas ten kwiat toć przecie jakby ptak rajski, w klatce hodowany—lotos nie ma w sobie żadnej melanchoлии odcienia. Jest w nim rychlej: pogoda... Pól Elizejskich. Niema w nim uderzającego w oczy blasku, ani też wyniosłego majestatu. Jest tylko uduchowanie zgoła nadziemskie, jakieś transcendentalne. Zda się oto: począł się z kłębu tych korzeni, przyrosłych do ziemi, wybił się z pod tych liści przyległych do wody i na smukłej łodydze swojej rósł, rósł, rósł coraz wyżej, nasyłk barwą w wielkim pąku i—zakwitł... *jenseits des Guten und Bösen*.

Sympatyczny, siwy pan, stojący opodał, oparty o zrab przeciwległego basenu, chrząknął.

Chrząknął, uczynił pauzę i rzekł:

— Jako w *Divina Comedia* Beatrycze wpatruje się w niebo a Dante w nią, tak pan dobrodziej wpatruje się w lotos, a ja w pana!

— Wybacz pan — odpowiedziałem — zem nie spostrzegł jego zaszczytnego dla mnie zainteresowania się moją osobą. W istocie... zapatrzyłem się!

— Pan dobrodziej zapewne—malarz, co?

I, nie zwracając uwagi na moje zaprzeczenie:

— Bo ja jestem—mówił—z zawodu przyrodnikiem. Co za okaz! Prawda? Co za okaz! Rzadkość niezmierna. Zauważył może pan dobrodziej, że ten, przed którym oto stoimy, Nurzykłąb okazały, japoński, różowy, wyrażając się naukowo: *Nelumbium speciosum vel japonicum, roseum* ma...

— Nie siedem, ale dziewięć pręcików w środkowym zwoju podsady, wydzielającej z siebie ciec nicco lipką, zabarwiającą się żółto w początkach wzdęcia!...

Przerażony spojrział na mnie sympatyczny, siwy pan. Zanim jednak zdołał słowo wymówić, podałem mu rękę; on ścisnął ją machinalnie i pożegnaliśmy się w mig. Wymknąłem się co tchu z oranżeryi—zostawiając, ręczę, w najzaciejszej duszy ludzkiej pełne urazy wspomnienie.

Alem uratował własny swój nastrój „lotosowy”, niemający nic wspólnego z liczbą pręcików i nomenklaturą botaniczną.

W podwórzu natknąłem się na całą „kompanię pielgrzymów”, trzech panów, pięć dam i troje dzieci.

— Czy to tu?!—zagadnięto mnie chórem.

— Tu.

— To znaczy... tam?—kilkoro rąk uczyniło gest na prawo.

— Tam.

— Kwitnie?

— Spieszcie się, państwo, bo... przekwita!

Popędzili.

A tam, w oranżeryi Botanicznego Ogrodu, w chwili, kiedy to piszę, po okwiciu kolejnym kwiatów kilku, podnosi się nad wodą, na wiotkiej łodydze pąk nowy i, pod sztucznie spotęgowanymi blaskami naszego słońca, zaczyna rozwijać kwiat kwiatów, uswięcony piękną własną i tysiącletnimi legendami.

Duszę na chwilę oderwicie od szaryzn powszedniego dnia!

Lotosy kwitną... C. MARWICZ.

## Rozwój pojęć ekonomicznych w Polsce w końcu XVIII wieku.

BROSZURA ŻELISŁAWA GROTEWSKIEGO.

Praca p. Grotowskiego, wydana przez Tow. Wyż. Kursów Handlowych, jest właściwie szkicem do większego dzieła. Stąd przygniata ją ogrom erudycji autora, który zdołał jednak wyrazić główne linie wytyczne swoich poglądów. Stąd też całość czyta się choć mozolnie, ale z prawdziwą korzyścią.

Sam układ świadczy o szerokim ujęciu rzeczy. Autor zaczyna od krótkiego zarysu tworzenia się pojęć państwowych i ekonomicznych na Zachodzie i przedstawia im stopniowy rozkład i zanik wreszcie tych pojęć i w Polsce—aż do odradzającego ruchu czasów stanisławowskich, ruchu, przerwanego przez obce potęgi.

Podczas gdy w krajach przodujących kulturą wyrabiała się idea *jedności państwa* i silnych rządów, gdy rządy owe wszystkimi siłami starały się o rozwój przemysłu i handlu, gdy na miejsce państwa feudalnego z jego naturalną gospodarką tworzone „silne państwo terytorjalne—państwo odrodzenia i reformy kościelnej”, gdy mieszczaństwo nabierało coraz większego znaczenia—w Polsce szlachta, zazdrosna o potęgę miast, zaślepiona przez własny, ciasny egoizm, krępuje rozwój handlu i przemysłu, świetnego niegdyś i sławnego.

„Naprawdę—pisze p. Gr.—staramy się odnaleźć ślady jakiejś trwałej metody w polityce ekonomicznej w Polsce w wieku XVII”. „Była to krótkowzroczna taktyka, starająca się osiągnąć korzyści na dziś”— „nie dbająca o bardziej szerokie plany”—a miała „jedną myśl przewodnią: obronę interesów szlacheckich”.

Naprawdę jeszcze w wieku XVI-ym Frycz Modrzewski, którego praca w języku niemieckim miała wielki wpływ w Niemczech, pisał „O poprawie Rzeczypospolitej”, „o przywróceniu praw mieszczańskim i chłopom, o utrwaleniu silnych rządów królewskich, opartych na szerszym porozumieniu z ludem”, próżno Skarga ciskał pioruny—Polska dążyła w przepaść, której wyrazem stała się pamiętna charakterystyka: „Wolność mieszczań, swawolą przytłumiona, skarb dymem obcych kruszców zczerniony,—miasta bez obywateli—miasta bez handlu—handel bez korzyści, w miastach miast szukać trzeba, co ulica, to pole—co rynek, to pustka”...

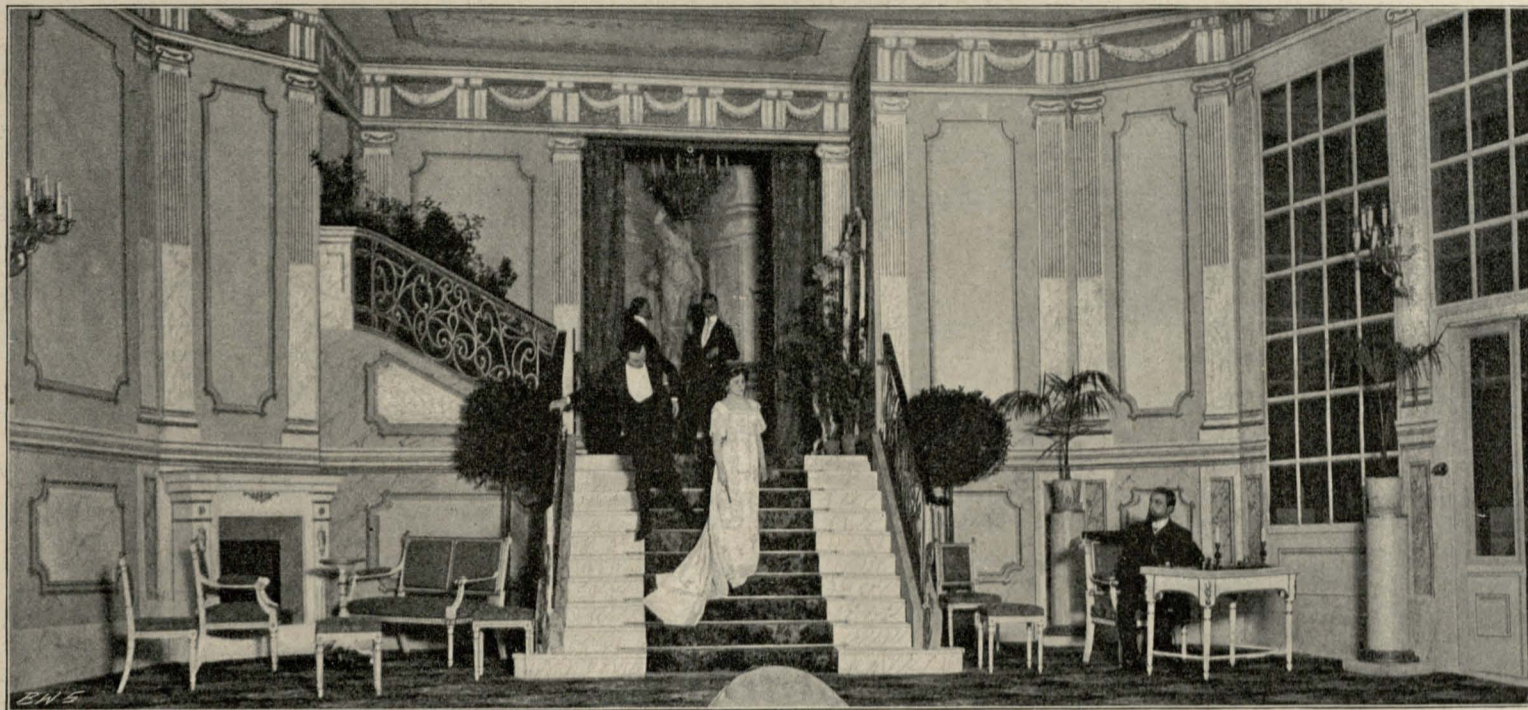
„I gdybyśmy wtedy upadli w czasach saskich—podnosi słusznie Balzer—bylibyśmy tem martwym ciałem, które konieczne pogrzebać należało—bo całe przeszło zgnilizną i zepsuciem”.

A gdy „przyszła chwila ocknienia”, napotkano niepokonalne przeszkody w braku wyrobienia, w braku ludzi odpowiednich na średnie stanowiska. „Mściły się owe zarządzenia sejmów z wieku XVII, gdzie przesładowano rozwój mieszczaństwa”. Dlatego też upadły kolosalne wysiłki Tyzenhauza i „Kompanie Manufaktur”.

Niemniej jednak postęp ekonomiczny stał się widocznym w ostatnich dziesiątkach lat wieku XVIII.

Ale przyszły wypadki zewnętrzne, którym świeże siły narodu poddać nie mogły.

Wprawdzie, zdaniem autora, okazaliśmy, że możemy tworzyć, ale, według mnie, tworzyły tylko jednostki. „Brak wyrobienia” okazaliśmy przecie również wymownie, jak w przemyśle, w polityce, w wojnie... Świadczy o tem dobitnie szlachetne w czynach jednostek, bohaterkie w Warszawie i kilku oddziałach, lecz naogół niedołężne powstanie Kościuszkowskie. J. K.



„DYABEL” MOLNARA. SCENA Z AKTU II-go. PP. KAMIŃSKI, PAWIŃSKA I ŚLIWICKI.

## WIECZORY TEATRALNE.

*Początek nowej ery.* — „Dyabeł”, trzyaktowa komedia F. Molnara na scenie Teatru Letniego. — *Rodzaj szatańskości bohatera sztuki.* — *Główna postać i reszta.* — *Treść sztuki i anegdotyczność jej motywu przewodniego.* — *Gra Kamińskiego.*

W sobotę, dnia 8 sierpnia, święciliśmy w Teatrze Letnim prawie uroczystość. Premierą „Dyabła” debiutowała — nowa era dramatycznej sceny naszej. Sztuka, przyjęta jeszcze przez b. kierownika repertuaru, szła na scenę pod egidą nowej dyrekcji i nowej reżyserii; Kamiński miał we własnej osobie „kreować” wielką tytułową rolę, a jak chodziły wieści: kwintesencję wszystkich słynnych ról swoich „demonicznych”.

Do ostatniego zakątka rozchwytno wszystkie miejsca na sali. Kasę o południu zamknięto wobec oblegającego ją jeszcze tłumu. Piękniejszego, wykwintniejszego parteru, oraz dystyngowańszych łóż nie widziano latem w Warszawie od bardzo dawna.

Afisz zapowiadał trzyaktową komedię firmy pisarskiej — węgierskiej, przeto: nie spowszedniałej; firmy pisarskiej młodej, przeto: nie uprawiającej archaizmów. Nazwisko tylko autora, F. Molnara, nie mówiło wiele... Sam wszelako Szekspir nie urodził się — Szekspirem. Prawda?

Czy p. Molnar ma szansę wybić się kiedyś na pierwszą linię autorów scenicznych? Zostawmy odpowiedź — w zawieszeniu. Tymczasem zdaje się tylko poszukiwać oryginalnych pomysłów. Bardzo to chwalebne, wcale interesujące, nie może jednak dać widzom i słuchaczom zadowolenia wszechstronnego. Nie daje też tego zadowolenia „Dyabeł”.

Cała sztuka jest jednym naginaniem i ściąganiem wszystkiej akcji, wszystkich figur do pomysłu, co go autor postanowił *à priori* zdyskontować przy pomocy środków i sposobów scenicznych. A mianowicie:

Już historia Adama i Ewy opowiada o „złej sile”, płatającej fatalne psoty (aby nie wyrazić się ostrzej!) rodzajowi ludzkiemu. Siłą tą złowrogą a podstępą jest — jak wiadomo — Szatan. Szatan-kusiciel, Szatan-gorszyciel, Szatan, czy-

hający na zgubę duszy ludzkiej, pchający ją w przepaść grzechu i sromu. Personifikację Szatana, ukształtowaną w ten lub inny sposób, poeci wszystkich krajów i czasów wprowadzali chętnie do utworów swoich, często gęsto czyniąc ją osią fabuły lub psychologicznych komplikacji. Wystarczy przypomnieć Mefista w „Fauście” Goethego i Demona w poemacie Lermontowa. Tu, tam i owdzie Lucyfer występuje jako osobistość całkiem realna; czasem zapada się w ziemię w nadprzyrodzony sposób, czasem ziewa czerwienią piekielną, wszelako, jak np. w obcowaniu z Twar-

dowskim, *sprawia wrażenie* bynajmniej nie zjawiska lecz z krwi i kości osoby.

Na wręcz innym założeniu zbudowany „Dyabeł” F. Molnara. Jego Szatan, Demon, Duch Nieczysty, czy jak go nazwać, pomimo, iż najosobiściej, najrealniej bierze czynny udział w sztuce, a nawet całą ją prowadzi, jest od początku do końca tylko *symbolem* owej fatalnej a potężnej siły, która zbija człowieka z dróg cnoty i na manowce grzechu uwodzi. Tego symbolicznego charakteru swego Dyabła autor węgierski bynajmniej przed nami nie ukrywa; przeciwnie, podkreśla go raz po raz.

Ponieważ zaś wypadki życiowe, które przetasowuje moc szatańska, bynajmniej nie są skomplikowane, przeto sztukę p. Molnara nazwać — by wolno udratyzowaną i podmalowaną różnymi efektami: szarych godzin, nocy księżycowych, muzyk za sceną, etc. — anegdotą obyczajową.

Młody, wszechświatowej sławy malarz, za biednych czasów swoich studenckich, snuł *un parfait amour* pierwszych uczuć serdecznych z pensjonareczką miłuchną, córką państwa, u których mieszkał. Między nimi — nic nie było, okrom jednego, może dwóch pocałunków. Czyliż może być coś bardziej — zwykłego! Potem ona wyszła za mąż za bogatego „zjadacza chleba”, nie wspominając o truflach i kawiorze. On stał się sławnym. Spotykają się. Ach! — sześć lat rozłąki nie dało im zapomnieć o sobie. Tylko że teraz dawniejsze świąty różane stoją u południowego zenitu i pałają... pałają... pałają — zarówno walczącego z budzącą się namiętnością artystę jak nieszczęsną, niemniej opierającą się czarowi piękną Jolantę. I — w psychologicznym tym momencie właśnie występuje na widownię Dyabeł. Na pozór — *on* postanawia rzucić Jolantę w objęcia Jana. W rzeczywistości to oni sami sprządzają katastrofę. Dyabeł (jako przyjaciel Jana) mówi tylko to, co czują lub myślą kochankowie; wybiegi i intrygi, które na pozór *on* wykoncypowuje, to oni sami uknuli i przeprowadzają, aby rozczyszczyć sobie drogę do — do wymarzonego, namiętnie pożądanego szczęścia.

Rola Dyabła jest bierna a zakochanych czynna; w akcji zaś scenicznej oni są bierni a porusza nimi Dyabeł. Wszystko, co się dzieje w sztuce, promienieje od Dyabła, zaś faktyczne *dramatis personae* poruszają się jak maryonетки, niejako ilustrujące tylko plastycznie proces psychologicz-



„Dyabeł” Molnara. — Scena z aktu III. Pp. Kamiński i Pawińska.



ny, którego Dyabeł jest symboliczną ekspozycją. Sztuka ma właściwie tylko jedną osobę: Dyabła. On rozgrywa ją całą, rozwijając w ciągu trzech aktów wielką demonstrację: upadku kobiety i odszlachetnienia się mężczyzny.

Może jednak perypetye, etapy, epizody dość zwykłej przygody mają w sobie pomysłową niepowszedniość? Nie, nie mają jej. Motyw dziewiczej narzeczonej jako rywalki kochanki-mężatki, motyw zakochanej „modelki”, zmuszonej ustąpić miejsca nowej fantazyi artysty, mąż sam przyprowadzający nieopatrnie żonę do pracowni artysty i pozwalający jej pozować do portretu—nie wiem, ale zdaje mi się, że my to już gdzieś widzieliśmy... a nawet bodaj, że widywaliśmy wcale często w życiu i na scenie.

Typy „szatanów” w literaturze są rozmaite. Są: majestatycznie tragiczni, bez mała jak Ananke grecka; są jowialni i figlujący; są demoniczni i archanielscy; są tytanicznie wspaniali i upiornie straszni; są filozofujący i bluźniący, są nieprzepracowani powabni i sentymentalnie przygnębieni upadkiem własnym... Dyabeł (dlaczego nie „Szatan”?) Molnara zbliżony najbardziej do groteskowo-wizyonerskich postaci z „Fantastycznych Opowieści” Hoffmana. Ponieważ zaś Molnar ma inklinację do sypania dowcipnymi paradoksami, sarkazmem i brawurowym cynizmem, gdzieżby bardziej mogły być na miejscu te fajerwerki stylu i zwrotów, jeżeli nie w ustach... Mefista? Oskar Wilde miał trudniejszą sprawę z rozlokowywaniem wszystkich swoich bryzgów i wierzgów — po rozmaitych indywidualach sztuk swoich pisanych najczęściej dla owych popisujących się paradoksalnymi kpinami. *Koncepty i boutady* Molnara nie dorównują wybrykom angielskiego „estety”, ale pomagają mu znakomicie do utrzymania we właściwym charakterze bohatera sztuki.

Tedy—jak widać—jedną jest tylko właściwie rola w „Dyable”, mianowicie samego Dyabła. Reszta — to komparsi, powołani nieledwie tylko do *wyrażania* mimiką i pozą pewnych stanów duszy. Zadanie to bynajmniej jednak nie podrzędne! Bez wiernego i doskonałego *odbicia* całego procesu psychologicznego w żywym zwierciadle występujących osób, bez ścisłego i umiejętnego reagowania ich na akcję dyabelską—sztuka spadłaby do poziomu monologowanego monodramu.

Pod względem tego istotnego poświęcenia się dla dobra dzieła scenicznego prym trzymała p. Pawińska (Jolanta), grając w pierwszym i drugim akcie tak, jakby autor dla niej popisową skreślił rolę. Parę tylko szczegółów przeoczyła—reżyseria: płaszcz (*sortie de ball*) zbyt ciężki i uroczyście w kulminacyjnej scenie drugiego aktu, oraz nazbyt pośpieszne zdjęcie kapelusza w akcie trzecim. Wszak Jolanta jest „damą z towarzystwa”, nie uchybiającą przyjętemu konwenansowi. P. Śliwicki (malarz Jan) mniej gorliwie cieniował rolę swoją, poprzestając na banalnych efektach melodramatycznych. P. Pichorówna (modelka Mizzi) ma tyle talentu wrodzonego, że w zakresie ról charakterystycznych, wcale szerokim, doprawdy powierzać jej można wszystko z zamkniętymi oczami. P. Pichorówna wyrasta na jedną z najcenniejszych artystek sceny naszej dramatycznej. Co zaś do p. Mirskiej (Elza, narzeczonej Jana), to byłoby do życzenia jedno tylko: aby co rychłej zastąpił ją w roli tej kto inny. P. Mirska nie ma ani warunków ani biegłości aktorskiej, wymaganych od ról pierwszoplanowych.

Kamiński grał—wspaniale. Tak wysokiego stylu, takiej techniki aktorskiej, takiej pomysłowości, takiego subtelnego cieniowania okresów i wyrazów, takiej wyrazistości postaci, przy bardzo dyskretnym traktowaniu charakterystycznych „dyabelskiej”, takich szczegółów znakomitych (nietoperzowe potrząsanie rękami, zmijowe ruchy, siadanie *sans façons* na poręczu fotelu podczas dyktowania listu Jolancie, klapy fraka zaostrzone skrzydłami, etc. etc.)—dawno nie widzieliśmy na scenie naszej. Prawda, że tego rodzaju szatańskość jest niejako specjalnością wielkiego artysty. Ale, na miły Bóg, tego by jeszcze brakowało, aby bagatelizować czyjąś doskonałość w danej specjalności! *Hyperkrytycyzm* jest także pchnięciem... mimo, jak każde inne pobłędzenie.

Wystawiono „Dyabła” z wielką starannością, posuniętą aż do budowania istotnie imponujących schodów aktu drugiego przez 25 minut antraktu! Uprzątnięcie tychże schodów między aktami drugim a trzecim trwa... również 25 minut. Na premierze, wśród masy znanych, nie dłużył się czas. Ale—„Dyabeł” ma, sędzić wolno, długi szereg wieczerów przed sobą...

Reasumuję wrażenia niepospolitego wieczoru te-

atralnego: sztuka interesująca; gra Kamińskiego tak znakomita, że nawet uchybienia się autora, przewlekłości i niektóre banalności pokrywa sobą; widowisko efektowne, wrażenia otrzymane świeże i urozmaicone.

Nowy okres życia teatralnego dramatycznej sceny naszej rozpoczął się pod dobrą gwiazdą. Miejmy nadzieję, że teraz publiczność zdecyduje się spełnić—miły obowiązek.

CZESŁAW JANKOWSKI.

## Jonas Lie.

Norwegii był jeden z pierwszorzędných jej pisarzy: Jonas Lie. Był to prawdziwy poeta, którego wiersze tchnęły głębią uczuć, a proza miała swój własny, lekki styl, swój własny, odrębny rytm. Był to człowiek niezłomnych przekonań, wyczuwający swoje społeczeństwo z siłą i wrażliwością przedziwną.

Urodzony w r. 1833 w Ekker, poświęcił się początkowo adwokaturze. Ale wkrótce rzuciwszy swój majątek w operacje finansowe, których celem było pod-



Jonas Lie.

niesienie rodzimego przemysłu, stracił wszystko, co miał, zmuszony był nawet zwinąć swoją kancelaryę adwokacką. Ale nie upadł na duchu. Będąc już autorem kilku nowel i poezji, postanowił jej wydać. Nie zaraz mu się poszczęściło. Dopiero przez powieść o „Jasnovidzącym” pozyskał rozgłos, środki materialne i zachętę do dalszej twórczości, której też poświęcił się już całkowicie.

Wkrótce pozyskał rozgłos europejski, a imię jego zostało wpisane na zawsze, obok Ibsena i Björnsona, jako jednego z odrodzicieli literatury norweskiej.

Do najlepszych dzieł Jonas Lie należą: „Obrazy Północy”, „Opowiadania” i szkice z Norwegii”, „Łódź na Söndmöre”, „Adam Ross”, „Rodzina z Gilje” i w innych.

## Osobliwa gazeta.

Na Śląsku Cieszyńskim, w Bielsku, wychodzi co tydzień osobliwe pismo. Nosi dwa tytuły: niemiecki *Die Wahrheit* i polski *Prawda*. Drukuje się czasami tylko po niemiecku, czasami dodają na marginesie przekład polski artykułów, w *Die Wahrheit* zawartych.

Pismo wychodzi na Śląsku, ale cenę prenumeraty drukuje jedynie w rublach, a filię swoje podaje wyłącznie w Królestwie Polskiem i na Litwie. Zgodnie z zapowiedzią w nagłówku, *Die Wahrheit* przeznaczona jest „dla pouczenia robotników i obrony ich interesów”. O sprawach robotniczych najmniej jednak czytamy w tem piśmie, natomiast idea wszechniemiecka przebija tu z każdego słowa. Ostatnich kilka numerów tego sławetnego organu niemal w całości poświęcono znie-nawidzonemu przez Niemców, p. Stefanowi Gorskiemu,



Pismo polsko-niemieckie „Prawda” (Die Wahrheit).

któremu za jego znaną akcją publicystyczną, przeciwko idei pruskiej, *Die Wahrheit* nie szczędzi najordynarniejszych wymysłów.

Gazeta ta, redagowana przez niejakiego p. Auri-cha, często nawiedzającego znajomych swoich w Łodzi, jest głównie rozrzucana wśród robotników zupełnie darmo i służy dla celów jątrzenia stosunków polsko-niemieckich w Królestwie Polskiem.

Na rozszerzenie tej gadzinowej szmaty należałoby baczniejszą zwrócić uwagę.

## Osobiste.

— Kierownik artystyczny naszego pisma, p. Józef Holecwski, powrócił do Warszawy.

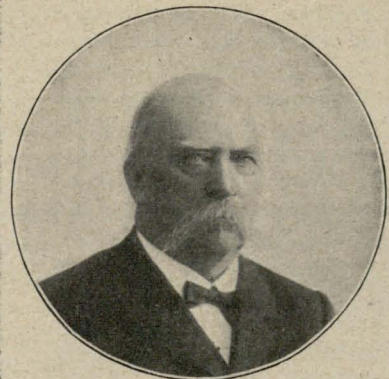
— P. Stefan Gorski, sekretarz redakcji *Tygodnika Ilustrowanego*, wyjechał za granicę i na prowincję.

## NASZE RYCINY.

Roman Lewandowski. „Portret Zygmunta Krasieńskiego” i „Sarkofag w Opinogórze”. Pierwsza z powyższych prac znanego rzeźbiarza jest dużym studium portretowym, robionym na podstawie marki pośmiertnej i portretów rodzinnych. Robota odznacza się nadzwyczajną precyzją i uwiecznieniem rysów wielkiego poety. *Sarkofag* z portretem Zygmunta Krasieńskiego w całości — jest modelem właściwego sarkofagu, w  $\frac{1}{3}$  oryginalnej wielkości pomnika, który stanie w Opinogórze. Pomysł wzorowany nie jest na dawnych sarkofagach i zawiera szereg alegorycznych postaci w płaskorzeźbie. W pośrodku znajduje się Chrystus, przyjmujący Syna Marnotrawnego. Na prawo stoi Proctwo, dalej w tym samym kierunku Wdowa polska, trzymająca Koronę polską, niby swoje ukochane dziecię, za nią stojący Wieśniak polski podtrzymuje ją. U stóp Wdowy chłopak wiejski, wijący wieniec Nadziei. Za chłopcem stoi Poezja i Sztuka. Z lewej strony obok Chrystusa Zawiść, Siła brutalna w postaci kondotyera, dalej Anarchia, trzymająca w jednej ręce bombę i ciągnąca dziecko za sobą, dalej Rozpusta (i Pycha w jednej osobie) z pawiem u dołu, wkładająca jabłko w rękę Grzechowi. Ściana boczna z lewej strony (niewidzialna na fotografii) przedstawia Matkę Boską z pucharem łez polskich. Ściana z prawej (również niewidzialna na fotografii) przedstawia ruiny Colosseum z krzyżem. Na sarkofagu napis: Zmartwychwstaniesz nie ze snu, ale z pracy wieków. Postać poety zrobiona będzie z białego tyrolskiego gruboziarnistego marmuru, a płaskorzeźba i podstawa z różowego, siedmiogrodzkiego, również gruboziarnistego. Materiały te nadają całości cechę monumentalności. Dzieło skończone będzie w marcu i zostanie wystawione w Wiedniu i w Warszawie. — J. Douzette „Wieczór”. Jest to bardzo dobry pejzaż szkoły nowożytniej. Nie wymaga bliższych objaśnień. O. Koroknyay. „Niepoprawny”. Obraz węgielskiego artysty przedstawia scenę, łatwą do odgadnięcia. „Niepoprawnym” jest pijak, nad którym rozpacza rodzina. Postaci obrazu są pełne życia, gesty jasno się tłómaczące.

## Marcin Krzymuski.

Towarzystwo Kredytowe Ziemi świeżo okryło się żałobą przez śmierć długoletniego prezesa dyrekcji Szczegółowej, ś. p. M. Krzymuskiego. Urodzony w roku



1831, nauki początkowe otrzymał w Płocku, wykształcenie rolnicze w Marymoncie. Od roku 1879 piastował godność w Towarzystwie Kredytowym. Zmarły otoczony był wielką czcią dla prawości charakteru i ofiarności w pracy społecznej. Pokój dobremu obywatelowi kraju!

N A D E S Ł A N E.

**„F. KOZŁOWSKI”**  
 Warszawa, Rymarska 7, róg Leszna  
**S. Nowacki**

Telef. 39-99  
 OBECNIE NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO: Lamp, Porcelany,  
 Fajansu, Szkła, Galanterii, Noży, Widelcy  
 etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, pla-  
 tery, bieliznę, krzesła, stoły.

ZYRANDOLE

kościelne i salonowe do świec i gazu.  
 Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacje  
 i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do  
 żyrandoli. Jedyny palnik naftowo-żarowy  
 bez wszelkich komplikacji 60% oszczęd-  
 ności nafty. Komplet rub. 3.

# Linoleum patentowane Libawskie

wyrabia się w rodzaju dywanów, chodników i panelu, najtrwalszy, ładny i higieniczny materiał do pokrycia podłóg, ścian, schodów, stołów i t. p.

## Linoleum z deseniem na wskroś — Linoleum granitowe

zachowujące desień aż do zdercia się samego linoleum.

„Linkrusta“ (obicia relief) przewyższa wszelkiego rodzaju tapety swoją trwałością i prezentacją, nie tracąc deseni.

„Linkrusta“ może być zmywana i przemalowywana.

Korki różnych rozmiarów i gatunków. — Pasy korkowe do pływania. Koła ratunkowe. Kapsle metal. do butelek. — Pudełka z metalu brytyjskiego.

Wyroby korkowe izolacyjne do izolacji ścian, podłóg, rur, kotłów parowych i t. p.

Płyty korkowe przed wanny. — Podeszwy korkowe. — Wycieraczki kokosowe.

Towarzystwo Akcyjne Manufaktury Korkowej Wicander & Larson w Libawie.

Skład fabryczny w Warszawie, Nowosenatorska 9, telefon 1128.

KORALE PRAWDZIWE czerwone, różowe i białe

## Przybory do szycia i haftu

poleca po stałych niskich cenach

# STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

## ALFONS MANN

Warszawa, Tłomackie 3.  
 Fabryka założona w 1819 r.

Narzędzia gospodarsko-weterynaryjne. Maszyny do strzyżenia koni. Amerykańskie maszynki do golenia „Star“ i Gillette.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA“  
 mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁRUCZY „TYGODNIKA“**  
 po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

**piękne artystyczne teczki**  
 Do cyklu „BOŻY ROK“ Piotra Stachewicza  
 po rub. 1.50, przesyłką i opakowanie kop. 50.

**C-SKORYNA i S-ka** FABRYKA MASZYN  
 I KAMIENI MŁYŃSKICH  
 BUDOWA MŁYNÓW  
 WARSZAWA - PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.  
 OLSZOWA 14 TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

Zwracamy uwagę na podręcznik „Samouczek“ Pl. v. Reussnera, zob. ogł. str. 3

**W. CYBULSKI i S-ka**  
 Warszawa, Nowo-Senator 7.  
 Telefon 60-29  
 Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

FORTEPIANY,  
 PIANINA, PIANOLE,  
 ORGANY,  
 MELODYKONY



**GEBETHNER i WOLFF**  
 Warszawa, Krak.-Przed. 17

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

## ODPOWIEDZI.

*Panu Mar. Win.* Istotnie wyraz *planeta*, posiadający wielorakie znaczenie, oznacza również ornat. W tem znaczeniu bywa atoli używany rzadko i prawie wyłącznie w kościołach obrządku wschodniego. Po wszecnie zaś w kościołach obrządku rzymskiego ornat jest nazywany *casula*. Tem się tłumaczy, że Józef Łukaszewicz, wyśmienity znawca łaciny, nie uznał za właściwe przetłumaczyć w danym razie *planeta* przez ornat. Być jednak może, iż w samej rzeczy mowa tam o ornacie. Wątpliwość da się rozstrzygnąć, jeżeli się znajdzie szczegółowy inwentarz kościoła z owego czasu.

*M. D.* Proszę się udać do redakcyi *Wszecchiwiata*. Nam brak miejsca na długie odpowiedzi z zakresu nauk przyrodniczych.

*Al. Bieg. w Kraśniku.* „Hymnu pielgrzymy“ nie może drukować *Tygodnik*. Rzecz jest b. słaba, wobec nieopanowania przez Sz. Pana formy. Radzimy uczyć się dużo, a czytać też jak najwięcej, zanim Pan pocznie tworzyć.

*P. Irasowi.* Mimo poprawności formy, wierszy Pańskich drukować nie możemy, nie znajdując w nich prawdziwego natchnienia.

*P. M. Myśl. w Płocku.* Utwory Pańskie bardzo są jeszcze słabe i do druku się nie nadają. Rękopis zniszczony.

*S. Tatar w Łodzi.* Adres: Krucza 44.

**J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI** Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej  
**KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI**  
 Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

WYDAWNICTWA GEBETHNERA I WOLFFA

MARTA NORKOWSKA:

**PIEKARNIA I CUKIERNIA**

wytworna i gospodarska z ilustracjami.

Cena rub. 1, w opr. kart. rub. 1.20.

**NAJNOWSZA KUCHNIA**

wytworna i gospodarska

zawiera 1240 przepisów gospodarskich z uwzględnieniem kuchni jarskiej, z **ilustracjami**, wzory nakrycia stołu, sposób ogólny podawania przekąsek i potraw, 70 wzo:ów „Menu“ skromnych i wystawnych śniadań, obiadów i kolacyi na każdą porę roku i t. d. Wydanie nowe powiększone. Cena rub. 1.80, w kart. rub. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**MAŁECKI**  
 Fabryka Fortepianów i Pianin  
 PIĘKNA Nr 1 (róg Alei Ujazdowskiej) tel. 170.65.



**Denaturowany spirytus.**  
 Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kuchenki, żelazka i t. p.  
**B. CIA WIŚNIEWSKI i S-ka**  
 Foksal 18; Telefon 3069.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**SKŁADY NUT GEBETHNERA I WOLFFA**  
 W WARSZAWIE,  
 Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda) Krakowskie-Przedmieście 15  
 Polecają

**WIEDEŃSKIE** tanie wydawnictwa nutowe w tomach  
**„UNIwersAL-EDITION“**

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje **Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych** w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.  
**„Universal Edition“ zastępuje** niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

Wielki wybór najnowszych  
**Kultywatorów sprzężynowych**  
 zastosowanych do wszelkich rodzajów gleby i do różnej siły pociągowej.



Wypóbowanej dobroci

Szczegółowe opisy przesyłam na żądanie  
**ALFRED GRODZKI**  
 Warszawa, 33 Senatorska.

**J. MIECZKOWSKI, Fotograf**  
 Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**LUDWIK SZUFA KRAWIEC**  
 KRAKÓW TELEFON 671

**Lecznica D-ra Tarnawskiego w Kosowie** (St. kolei Zabłotów) w Galicyi w połud.-wschodnich Karpatach, otwarta od 1 maja do końca października. Leczenie wodą, dietą (także jarska i owocowa), kąpielami słonecz., gimnastyką i przysposabianie do życia higienicznego.

**Dr. I. Wapiński** ord. klin. szpitala świętego Łazarza Nowosenańska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele** Browaru poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“ w ROKU 1908.

NOWA SERJA.

**12 TOMÓW DZIEŁ HISTORYCZNYCH, LITERACKICH I NAUKOWYCH**

W cenie niższej rb. 6, zamiast rb. 23 kop. 90.

<b>Chmielowski P.</b> Józef Ignacy Kraszewski. Zarys biograficzno-literacki	3.—
<b>Desmolins E.</b> Szlaki dziejowe a typy społeczne. Szlaki starożytne. Przyczynek do geografii społecznej. Spolszczył Ludwik Krzywicki	1.50
<b>Kochanowski J. K.</b> Szkice i drobniutki historyczne	2.—
<b>Papée F.</b> Studya i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka	2.40
<b>Raleigh T.</b> Zasady elementarne polityki, z angielskiego tłómaczył Dr. J. Polak	—60
<b>Smoleński Wł.</b> Ostatni rok Sejmu Wielkiego (dalszy ciąg dzieła ks. Kalinki p. t. Sejm czteroletni). Wyd. 2-gie	3.40

<b>Sobieski W. Dr.</b> Szkice historyczne	1.50
<b>Sprawy szkolne i wychowawcze.</b> Odczyty, wygłoszone w wydziale wychowawczym Tow. higienicznego. Serja I	1.—
<b>Tokarz W.</b> Ostatnie lata Hugona Kołłątaja, 1794—1812. Praca, odznaczona nagrodą im. J. U. Niemcewicza. 2 tomy	4.50
<b>Weysenhoff J. generał.</b> Pamiętnik 1789—1831. Z portretem autora, wydał Józef Weysenhoff	2.—
<b>Zdziechowski M.</b> Szkice literackie I.	2.—

**12 POWIEŚCI**

W cenie niższej rb. 5, zamiast rb. 15 kop. 30.

<b>Gawalewicz M.</b> Mgła. Powieść	1.20
<b>Gliński K.</b> W Babinie. Powieść z pierwszych lat Rzeczypospolitej Babińskiej. 2 tomy	2.50

<b>Gruszecki A.</b> Słomiany ogień. Powieść współczesna	1.50
<b>Jabłczyński F.</b> Romans.—Około śmierci.—Przy robotach.—Szum drzew.—Eustachiusz.—Panna Anna i inne obserwacje życia.—Uczciwy człowiek.—Don Marco Bullon.—Pantofle	1.50
<b>Jeske-Choiński T.</b> O mitrę gospodarską. Powieść historyczna z XVI stulecia	1.50
<b>Kosiakiewicz W.</b> Plama (Z pamiętników wynalazcy)	1.—
<b>Mutermilch M.</b> Żydzi. Powieść	1.50
<b>Orkan Wł.</b> Nowele. Z przedmową Kazimierza Tetmajera	1.—
<b>Prévost M.</b> Listy do Frani. Przekład Maryi Rodysowej, z 59 wydania oryginału	1.20
<b>Rojan K.</b> Lepsze czasy. Powieść	1.20
<b>Świdorska A.</b> Obok szczęścia. Powieść współczesna	1.20

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku

**Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy**

Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.

PLYN  
 Cena flak.  
 rub. 1.

**HEMOGEN MAGISTRA KLAWE**

najracjonalniejszy preparat żelaza.

sposowany przy ogólnem osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku.

Uznany przez powagi lekarskie, jako **dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.**

Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

**Bracia ŁOPIEŃSCY** polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście No 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF. Współredaktor literacki Artur Oppman (Or-Ot). Kierownik artyst. Józef Holewiński. Sekr. red. Stefan Gorski. Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2. — Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych nadesł. do redakcyi, nie zwraca się